BIBLIOTEKA INSTYTUTU MATEMATYKI W GDAŃSKU

Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 20 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 24 października 1948 r. Nr 43 (172)

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka

CIV 9037

W NUMERZE

między innymi:

A. Wyręba — Warszawska polonistyka
K. Nałęcki i A. Wajda — Głos młodych plastyków
J. Miller — Wiersze
L. S. — Na obradach działaczy chłopskich
M. Grad — Walka klasowa na wsi rzeszowskiej
W. Jażdżyński — Notatki o „martwych duszach"
A. Braun — Sprawa Żelbeta
L. Marcinkowski — W obronie nauki
S. Golachowski — Miasto przemian społecznych
T. Drewnowski — Zapowiedź Zjazdu
St. Gębala — Nowoczesne „przypisanie do ziemi".

Zbigniew Wasilewski

FRONT NAUKI*)

Doniosłe obrady Plenum KC PPR wywołały cenny ferment nie tylko w szeregach przodującej partii politycznej, ale również we wszystkich niemal dziedzinach życia politycznego i społecznego Polski. Przeprowadzona przez Sekretarza Generalnego, Prezydenta Bieruta, krytyka objęła tym razem także rozległą dziedzinę kultury i nauki. Znane powszechnie z prasy codziennej stwierdzenia Prezydenta o zaniedbaniu marksistowsko - leninowskiego oświetlenia zagadnień nauki zbiegły się wymownie z rozpoczętą już walką o unaukowienie form i metod naszej humanistyki, najbardziej zapóźnionej ze wszystkich naukowych dyscyplin — walką, której jednym tylko z przejawów był przebieg i wyniki wrocławskiego kongresu historyków. Zbiegły się też one ze stałymi postępami reformy wyższego szkolnictwa.

Jednocześnie niemal przypada **75-lecie działalności Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie** — tej największej i najpoważniejszej instytucji naukowej kraju. Uroczysty obchód święta PAU w dniach 24—27 października stać się winien na tle poprzednio wymienionych wydarzeń i faktów okazją do przeprowadzenia **zasadniczej analizy sytuacji nauki w Polsce**, analizy — powiedzmy to odrazu — **zdecydowanie rewidującej** istniejący stan rzeczy. Stan ten nie jest bowiem zadowalający.

STRATY

Jak wynika z zestawień opublikowanych przez Fr. Blinowskiego w 4 numerze **Nowych Dróg** (lipiec 1947, str. 60), nasze straty wojenne są największe właśnie w dziedzinie kultury i nauki. Wynoszą one **500,5 miliardów zł**, wobec 495 miliardów strat w budownictwie mieszkalnym, 375,7 mlrd w komunikacji, 317,3 mlrd w przemyśle i górnictwie etc. Liczba 500 mlrd — to konkretnie utrata 43% ogółu dóbr w dziedzinie kultury i 60 proc. w dziedzinie oświaty w stosunku do stanu posiadania z roku 1939. Niewątpliwie dość spory, choć nieuchwytny liczbowo odsetek tych zniszczeń przypada na naukę.

A nie wszystkie ubytki wojenne dadzą się tu przecież wymierzyć w cyfrach. Nie obejmują liczby pokaźnego ubytku sił fachowych, ani zaniedbania regularnych i planowych badań przez sześć bez mała lat okupacji, ani rozbicia struktury organizacyjnej. Staliśmy się w latach wojny ubożsi o nienapisane książki, o nieprzeprowadzone prace, o niedokształcone pokolenie młodych, o niewyszkolone kadry naukowców. I tych strat nie da się ująć dziś w liczby, podobnie jak najbardziej bodaj niewymiernego **oddalenia zawsze dość elitarnej, arystokratycznej i naskórkowej kultury polskiej od szerokich mas społeczeństwa.**

ROLA NAUKI, JEJ POTRZEBY I PLANOWANIE

Aby odrobić te wielkie zaległości i zniszczenia, trzeba prowadzić pracę nie tylko pośpieszną i ze zdwojoną siłą, ale przede wszystkim pracę ekonomiczną i **planową.** Skoncentrować trzeba wysiłki wszystkich ludzi nauki na podstawowych, najważniejszych zadaniach i tematach, których opracowanie jest w chwili obecnej nieodzownie potrzebne, których rozwiązania wymaga nowa rzeczywistość społeczno - gospodarcza oraz potrzeby odbudowy ekonomicznej i kulturalnej. W okresie wojny nauka światowa poczyniła błyskawiczne postępy, nigdy jeszcze bodaj technika nie stanęła wyżej o tak znaczny stopień, w tak krótkim czasie. Pozostaliśmy w latach 1939—45 o jeszcze jeden pokaźny krok w tyle. — Nadrobić i to zapóźnienie — oto następny motyw **konieczności planowania** w tej dziedzinie.

Ale nie ostatni jeszcze. Bo żyjemy w epoce **pracy zbiorowej, kiedy poszczególne zadania — zwłaszcza naukowe — przerastają siły jednostki.** Powiększa się zakres wiedzy ludzkiej, wzmaga specjalizacja, komplikują narzędzia badawcze, rosną zadania. Czego nie mógł dokonać jeden, choćby najgenialniejszy człowiek, tam bez trudu i z pomyślnymi wynikami pracuje czuły, myślący kolektyw.

Za przykład może służyć Związek Radziecki, gdzie np. w wieloletnich doświadczeniach psycho - somatycznych profesora Bykowa i jego leningradzkich współpracowników brały udział setki (!) badaczy, eksperymentujących na tysiącach zwierząt, gdy jednocześnie 9 innych instytutów i laboratoriów, kliniki uniwersyteckie, szpitale wojskowe i zakłady higieny pracy przemysłu prowadziły kontrolę uzyskanych wyników i wszelkie prace uzupełniające. Oto **wzór pracy zbiorowej,** której wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania!

Myślący, zgrany w każdej linii kolektyw naukowy trzeba tylko umieć zorganizować, nastawić, poprowadzić... Organizacja pracy naukowej nie zabija swobody badań, jak o tym głośno i namiętnie krzyczą niektórzy liberalni naukowcy (rzecz dziwna: najczęściej ci, których zakłady uniwersyteckie znajdują się w stanie chronicznej bezczynności), lecz przeciwnie; ułatwia, wręcz umożliwia badania, przyczynia się do rozwoju nauki!

Organizację nauki określa **państwowy plan naukowy,** przydzielający poszczególnym badaczom i zakładom wydzielone odcinki pracy do wykonania, zdejmujący z nich troskę o warunki materialne, o narzędzia naukowe, wreszcie o publikację i wszechstronną wymianę osiągniętych wyników.

Wzrosła potężnie **rola nauki** w wyniku przeobrażeń ustrojowych. W państwie ludowym robotnik, pisarz i uczony — to filary społeczeństwa. Nauka sięga w nim po prawdziwy rząd społeczny, bada prawa rozwoju, organizuje formy współżycia, zmienia samo życie! I znów dobitnym przykładem jest Związek Radziecki, gdzie uczony stoi obok robotnika na samym szczycie hierarchii społecznej, gdzie państwo najwydatniej na świecie popiera rozwój badań — i to nie tych przygotowujących środki zniszczenia, jak w USA, ale pracujących dla pokoju. **„Zwiększenie roli nauki** — pisze Sergiusz I. Wawiłow, przewodniczący Akademii Nauk ZSRR **— idzie zawsze w parze ze wzrostem demokracji. To siły związane ze sobą. Nauka ma służyć postępowi. Ale czyni to tylko wtedy, gdy jest połączona z demokracją — na usługach hitlerowców była narzędziem ujarzmienia i zniszczenia świata".**

Cytuję te zdania, aby podkreślić potrzebę szerokiego rozwoju nauki na nowej drodze państwa polskiego. Szermierze wzniosłych, choć przez nich bałamutnie obecnie wysuwanych haseł autonomii, „apolityczności" i zwłaszcza „wolności" nauki — zdają się nie dostrzegać podstawowego faktu, że **w interesie rządu reprezentującego masy ludowe leży nie dławienie swobody badań, lecz właśnie szeroki ich rozwój,** że rząd ten może, musi i będzie popierał je coraz bardziej zdecydowanie i coraz wydatniej.

Aby to jednak czynić, musi mieć on gwarancję, że przyznane fundusze wyzyskane będą w sposób sensowny i planowy, że nie posłużą na dalszą publikację bzdurnych tomów „Nauki Polskiej", zaprzeczających — jak tom wydany na wiosnę br. — pojęciu nauki i godnych iść w całości do jakiegoś panopticum dziwolągów i anachronizmów. Musi mieć gwarancję, że pieniądze te nie będą użyte na rozbudowę instytucji pseudonaukowych, wstecznych i szkodliwych, na rozbudowę ośrodków, szerzących piórami swych kierowników wyraźnie faszystowskie koncepcje naukowe, pogłębiających zamęt myślowy w głowach młodzieży akademickiej i potęgujących metafizyczne, antyracjonalne „metody" pracy.

Państwo musi mieć pewność, że będą wykonane badania niezbędne dla odbudowy i rozbudowy przemysłu i handlu, instytucji państwowych i społecznych, życia społecznego i kulturalnego; że do wszelkich dziedzin w wyniku pomocy państwowej przypłyną kadry wykwalifikowanych fachowców nauki, kultury i wszystkich zawodów. Ten związek teorii z praktyką, znamienny dla rozwoju nauki ZSRR, zapewnia nie tylko stałą poprawę urządzeń społecznych i wzrost dobrobytu, lecz także i wysoki poziom samych badań.

Wszystkie wymienione gwarancje daje tylko państwowy plan naukowy, przedyskutowany i ustalony przez możliwie szerokie grono naukowców, stojących na gruncie postępu i demokracji, finansowany zaś, rozprowadzany i kontrolowany przez powołane do tego czynniki państwowe i społeczno - naukowe. Tylko koncentracja wysiłków objętych planem umożliwi wykonanie niezbędnych, doniosłych prac i zadań, tylko ona ułatwi rozprowadzenie pomocy państwowej. Kto nie chce tego zrozumieć — ten nie dba prawdziwie o rozwój nauki polskiej.

JAK JEST OBECNIE?

Sytuacja obecna jest krańcowo wprost odległa od powyższych postulatów. W wyniku chwalebnej skądinąd inicjatywy w odbudowie życia kulturalnego zaraz po wojnie, powstał na terenie kraju szereg instytucji, towarzystw i związków naukowych, z których niektóre zdołały się już nawet akademizować. Instytucje te mnożyły się jak grzyby po deszczu. Każdy Toruń, Lublin czy bodaj Białystok musiał mieć swą własną, odrębną „Kasę" lub „Towarzystwo Naukowe". Stowarzyszenia te — aż nadto często Towarzystwa wzajemnej adoracji wysoko uhonorowanych członków! — mają wysokie, choć nie zawsze usprawiedliwione aspiracje reprezentowania nauki polskiej. Nie baczą one przy tym, że nie dysponują zazwyczaj powołanym do tego zespołem osobowym, ani potrzebnymi funduszami, ani — co ważniejsze — że nie mają wyraźnego programu i zakresu pracy. Wiele powojennych publikacji, zapóźnionych metodologicznie i merytorycznie „zawdzięczamy" tym właśnie instytucjom.

Pomieszały się zakresy prac, pokrzyżowały kompetencje, powstał chaos, nie obiecujący pomyślnych wyników i utrudniający rozdział pomocy Państwa. Przerost form organizacyjnych, zbyt rozdrobnionych jak na nasze kadry naukowe, zbyt rozbitych jak na potrzeby samych badań, spowodował, że rząd w interesie samej nauki — musiał zareagować.

Toczą się obecnie wstępne przygotowania w kierunku odpowiedniej organizacji życia naukowego kraju. Przedwcześnie byłoby już mówić o tym, jak ma wyglądać jego struktura, niewątpliwie jednak da się wysunąć w tej chwili szereg praktycznych postulatów, które są wynikiem konkretnych bolączek i niedomagań obecnych i które będą zapewne — lub są już — dyskutowane w miarodajnych kołach. Omówione poniżej zagadnienia i wysunięte postulaty nie mają oczywiście najmniejszej pretensji do wyczerpania bogatego w problemy i trudnego zagadnienia.

POSTULATY

Najbardziej palącą bolączką jest zapewne sprawa **katedr i zakładów uniwersyteckich.** Są one przy obecnej strukturze nauki głównymi ośrodkami badań; ich kierunek, temat i sposób prowadzenia wyznaczają niemal wyłącznie indywidualne, z konieczności fragmentaryczne zainteresowania profesorów. Słusznie pisze w „Robotniku" wiceminister oświaty, ob. H. Jabłoński, że „samodzielne warsztaciki poszczególnych profesorów, nie komunikujące się z katedrami sąsiednimi, nie zespolone z nimi w jeden planowo pracujący kolektyw" — przeczą założeniom koordynacji, a więc i owocności wysiłków.

Zwłaszcza, że jakże często katedry są ośrodkami nie pracy, ale wprost bezczynności, jakże często młode, zdolne jednostki marnują się tam na asystenturach przy przekładaniu książek na półkach i ścieraniu coraz grubiej zalegającego kurzu. Jakże często też zakłady uniwersyteckie szerzą koncepcje przestarzałe, dawno skompromitowane już na całym świecie i dawno wyszłe z naukowego obiegu! Odnosi się to przede wszystkim do humanistyki, choć i inne działy nauki nie zawsze są w najlepszym położeniu. — Jakże często anachroniczni, przedwiekowi swą pozycją intelektualną profesorowie — miast uczyć — powiększają mętność niedomyślanych poglądów i niesprecyzowanych ostatecznie koncepcji swych uczniów.

Brak naukowej metody pracy, zaśniedziałość tych niekiedy zasłużonych w ubiegłych wiekach instytucji, zatrupieszałość poglądów i uporczywe trwanie „nieprzejednanie" na błędnych pozycjach — dają w rezultacie: marnotrawienie czasu, własnych i cudzych sił, pieniędzy państwowych oraz zdolności młodych adeptów nauki. I tych to rzekomo doniosłych wartości broni się ex cathedra w imię „apolityczności" nauki. Wszystko to świadczy aż nazbyt często, że niektórzy profesorowie nie mogą czy nie chcą zrozumieć dokonanych, postępowych przemian w społeczeństwie i nauce, **nie potrafią żyć w połowie dwudziestego wieku.** Czy więc wolno dawać im dostęp do umysłów młodzieży?...

Stanu tego tolerować nie można. Dlatego z zadowoleniem powitać należy miarodajną zapowiedź wicemin. Jabłońskiego w cytowanym już artykule: „Z pracy uniwersyteckiej części profesury, niewielkiej stosunkowo zresztą, trzeba i należy natychmiast **zrezygnować,** bo przedłużenie tego stanu rzeczy to finansowanie przez Państwo roboty mu wrogiej, demoralizacji umysłowej, młodego pokolenia, które z tak wielkim wysiłkiem kierujemy na wyższe uczelnie".

Takie słuszne postawienie sprawy wymagać będzie jednak szybkiego **szkolenia nowych, postępowych sił naukowych,** których na szczęście jest w Polsce dość spora — jak na początek — grupka. Trzeba tylko wszcząć zdecydowaną i odważną akcję uświadamiającą, trzeba rozpętać wielką pracę szkolenia! Ludzi, o których mowa, należy bez obaw wprowadzić na uniwersytety, akademie i do instytutów badawczych. Na ich przede wszystkim barki — i na barki postępowej części profesury — trzeba złożyć troskę o wychowanie następnego pokolenia naukowców. Ich wreszcie trzeba wciągnąć do prac przygotowawczych ogólnopolskiego planu naukowego.

W związku z zagadnieniem nowych kadr naukowych wysuwa się na czoło kwestia wielkiej wagi, która musi być rozwiązana w pierwszej linii. Chodzi **o materiały, z których korzysta młodzież akademicka.** Chodzi o te skrypty i skrypciki, wydawane w tysiącach egzemplarzy przez reakcyjnych profesorów i oddawane przez nich do rąk studentów. W Krakowie, w Toruniu, w Lublinie i Wrocławiu lęgną się te „podręczniki" — zapóźnione, urągające nowoczesnej wiedzy naukowej, szkodliwe często z punktu widzenia państwa i postępu nauki. Trzeba im zamknąć drogę do wyższych uczelni. Trzeba niezwłocznie opracować plan wydawniczy podręczników, scentralizować akcję wydawnictw skryptów, przystąpić do masowego druku! Trzeba w tym celu sięgnąć — im szybciej, tym lepiej — do źródeł nowoczesnej nauki na zachodzie i wschodzie, w pierwszej linii do **bogatych osiągnięć nauki Związku Radzieckiego.** Studenci ZSRR mają setki wspaniałych, nowoczesnych podręczników, uwzględniających ostatnie zdobycze wiedzy — dla naszych drukuje się wciąż jeszcze różne „Nauki Polskie", „Bryki hrabiego Mycielskiego" (vide **Po prostu** nr. 2) i książeczki prof. Białobrzeskiego. Naszych studentów niektórzy profesorowie karmią wciąż jeszcze wiedzą dziewiętnastowieczną! Pierwszym krokiem do uzdrowienia tego, przewlekłego, niestety, schorzenia będzie utworzenie instytucji, która, zajmie się przenoszeniem dorobku nauki radzieckiej na nasz teren i kwalifikacją podręczników radzieckich do wydania w Polsce.

I te sprawy powinien zdecydowanie i ostatecznie rozwiązać naukowy plan 6-letni 1950-1955. — Winien on też ustalić **rozmiar i sposób współpracy między katedrami uniwersyteckimi jednej specjalności w całej Polsce.** I tutaj profesorów ubiegli studenci. W ich związku kół naukowych — polonistycznych, medycznych czy prawniczych — pracują już od dwu lat na podstawie planów ogólnopolskich — zapewne niepełnych jeszcze, niedoskonałych i nie zawsze w pełni wykonanych, ale nawet i w tych usterkach część winy leży po stronie starszego pokolenia, które nie potrafiło czy nie chciało udzielić im koniecznej pomocy.

Współpraca międzyuczelniana powinna być regulowana przez **instytuty badawcze.** Istnieje już Instytut Socjologiczny, w ciężkich bólach rodzi się Instytut Badań Lierackich, po zjeździe wrocławskim jesteśmy bodaj na najlepszej drodze do Instytutu Historycznego — nie mówiąc już o podobnych zakładach przyrodniczych, o Akademii Technicznej, której wznowienie słusznie postuluje wicemin. Jabłoński.

„Tam, a nie gdzie indziej — pisze on w „Robotniku" — rozwiązywane będą kluczowe zagadnienia naukowo-badawcze danej gałęzi nauki, tam scentralizowana być musi działalność wydawnicza, tam ustalone być muszą podstawowe założenia odpowiedniej metodyki badań, o te istytuty wreszcie, jako ośrodek centralny, opierać się winno planowanie pracy naukowej instytutów uczelnianych czy poszczególnych katedr uniwersyteckich".

I wreszcie dochodzimy do szczytowego punktu zagadnienia. Coraz wyraźniejsza staje się potrzeba stworzenia nadrzędnej, **centralnej instytucji planującej.** Tej, która będzie koordynować wysiłki poszczególnych instytutów i zespołów, która będzie rozdzielać konkretne zadania i tematy do wykonania, która powołana będzie do finansowania i kontroli wykonania planu naukowego. Wielu naukowców i działaczy chciałoby widzieć te prace w wykonaniu Polskiej Akademii Umie-

*) Rozważania w 75 rocznicę Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Dm 5 71 05

jętności w Krakowie. Dla rozpatrzenia tej ewentualności wróćmy zatem pod koniec artykułu do omówienia dorobku i sytuacji bieżącej Czcigodnej Jubilatki.

POLSKA AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI

Jej 75-letni dorobek istotnie nakazuje szacunek dla uzyskanych osiągnięć. W r. 1873 przekształcona w **Akademię Umiejętności** z istniejącego od 58 lat **Krakowskiego Towarzystwa Naukowego** (nazwę „Polska" otrzymała ze zrozumiałych względów dopiero po odzyskaniu niepodległości, na progu dwudziestolecia), była PAU w latach niewoli siedliskiem kultu języka polskiego, któremu przysłużyła się wieloma pracami. Zasłużyła się też kulturze polskiej wydaniem wielu zapomnianych tekstów rękopiśmiennych i literackich, którym groziło zagubienie. Inicjowała i wspierała dzięki posiadanemu majątkowi, liczne badania naukowe, wydała wreszcie drukiem szereg dzieł i rozpraw, na czele ze wspaniałą **Bibliografią Polską** Estreicherów, **Monumenta Poloniae Historica, Encyklopedią Polską, Rozprawami Wydziału Filologicznego i Historyczno-Filozoficznego** i in. Po wyzwoleniu doszły do tego tomy **Atlasu Flory Polskiej, Prac Śląskich, Polskiego Słownika Biograficznego itd.** Dla społeczeństwa polskiego okresu rozbiorów działalność PAU ogniskowała myśl polską i przyczyniała się do podniesienia samowiedzy narodowej, a na zewnątrz przypominała światu nasze nieprzedawnione prawo do niepodległości.

Tego znaczenia, co przed rokiem 1914, nie zdołała PAU uzyskać już nigdy. Wręcz przeciwnie — mimo uzyskania po r. 1919 wielkich posiadłości ziemskich, dających podstawy finansowe, mimo wydatnej choć nierównomiernej pomocy państwa sanacyjnego, wreszcie mimo tych czy innych pojedyńczych, owocnych akcji, wzmożonego w ostatnich latach przed minioną wojną ruchu wydawniczego i pięknych kart z lat 1939—45 — poczyna ona świecić coraz bardziej **minionym już tylko blaskiem.**

Blask ten potrafi i dziś jeszcze ozłocić pięknie jubileuszowe uroczystości naszej największej instytucji naukowej. Nie potrafi natomiast **chyba na pewno** dodać Jubilatce nowego życia, nowej siły, nowych soków żywotnych. Pęta poczynania Akademii wspaniała tradycja, ciążą na niej średniowieczne mury Krakowa, nie dodają śmiałości myśli ani odwagi badaniom wyziewy krucht i bliskość niemal stu krakowskich kościołów.

Powiedzmy otwarcie: jest dziś ze swą przeszłością godną Polska Akademia Umiejętności **instytucją przestarzałą;** nie uniknęła losu swych młodszych sióstr i braci: instytucji i towarzystw naukowych. **Jest jawnym dowodem zapóźnienia nauki polskiej.**

Mówi o tym jej archaiczny system 4-wydziałowy, który jeszcze przed dwoma laty wychwalał w artykule w „Dzienniku Polskim" ś. p. prof. dr Tadeusz Kowalski, ówczesny sekretarz generalny PAU, a który hamuje rozwój prac badawczych w niektórych działach. Mówi o tym dalej brak stałych komitetów planujących i organizujących badania (jak wynika ze sprawozdań ś. p. prof. Kowalskiego, komitety takie są powoływane tylko doraźnie do wykonania pojedyńczych zadań, po czym rozwiązują się). Mówi wreszcie dobitnie katalog wydawnictw PAU, gdzie poza kilkoma „pomnikowymi" dziełami znajdujemy wiele prac wyłącznie przyczynkarskich, przestarzałych metodologicznie, niewiele wnoszących w sumie do dorobku naszej nauki. Mówią też takie pozycje, jak ostatni, głośny już, dzięki polemice tom prof. Borowego o poezji XVIII wieku.

Także skład osobowy Polskiej Akademii Umiejętności, błyszczący nazwiskami znanych i zasłużonych kiedyś dla nauki badaczy, nie gwarantuje jej żywotności ani rozwoju. Nie budzi on też zaufania Państwa w sensowność i celowość przyznawanych dotacji. Coraz wyraźniejsze jest, że PAU, jak i inne podobne, mniej świetne stowarzyszenia, staje się z każdym rokiem bardziej archaicznym i anachronicznym zabytkiem.

Nie wydaje się też możliwe, aby to „zjednoczenie zasłużonych emerytów lub kandydatów na emerytów" (jak pisze H. Jabłoński) mogło sprostać współczesnym potrzebom i zadaniom nauki, tym bardziej zaś, by mogło prowadzić trudną i odpowiedzialną akcję koordynacyjną lub planującą.

O POLSKĄ AKADEMIĘ NAUK

Dlatego też w 75 rocznicę PAU — schylając głowę przed jej minionymi zasługami — coraz dobitniej widzimy konieczność stworzenia nowej, centralnej 8-wydziałowej Polskiej Akademii Nauk — **jako nowoczesnej instytucji nadrzędnej, cieszącej się szerokim poparciem państwa ludowego, skupiającej całokształt prac naukowych i dzierżącej ster naukowego życia kraju.**

Oto postulat ostatecznych przydługich rozważań jubileuszowych.

Zbigniew Wasilewski

Aniela Wyręba Ilustr. S. Cieloch

POLONISTYKA WARSZAWSKA

(spojrzenie z boku)

Nie jestem studentką polonistyki. Ale o innych katedrach, wydziałach, a nawet uczelniach warszawskich wiem więcej, niż o polonistyce.

Dlaczego?

Polonistyka warszawska nie ujawnia się. Nie spotkałam polonistów na terenie organizacji młodzieżowych, ani nawet w Klubie Młodych Uczonych i Literatów.

W ubiegłym roku raz tylko dało znać o sobie Koło Polonistów, zapraszając wszystkie Koła Naukowe na referat. Poza tym cisza, choć niezupełna: poloniści warszawscy pisują w „Tygodniku Powszechnym". Trochę dlatego, że ten tygodnik piszącym najwięcej odpowiada, a prawdopodobnie i dlatego, że jednym z redaktorów jest student polonistyki. Od czasu do czasu spotkać można pojedyńcze nazwiska polonistów warszawskich w „Odrodzeniu", „Kuźnicy", „Wsi".

Zdarza się to rzadko, nazwiska powtarzają się, i o ile wiem, ludzie ci nie odgrywają większej roli w Kole, czy całej grupie studenckiej.

Przeprowadziłam dłuższą rozmowę z prezeskąKoła Polonistów.

Studentów polonistyki, na wszystkich latach jest około 500 osób. W ubiegłym roku akademickim było około 350. Połowa to stali mieszkańcy Warszawy. Reszta: Olsztyn, Białystok, Łomża, Pińsk, Rzeszów, Kielce, Radom. Pochodzenie społeczne:

75% młodzieży inteligenckiej,
25% „ robotniczej, rzemieślniczej i chłopskiej.

Tak mi powiedziano. Co znaczą te terminy? „Młodzież inteligencka" — nie jest to określenie społeczno - ekonomiczne klasy, raczej — kulturowe. Określa grupę młodzieży o pewnym zespole norm etycznych i tradycji kulturowych, co nazwiemy krótko: drobnomieszczaństwem. Młodzież ta stanowi naturalne przedłużenie studenckich grup przedwojennych — oporna, albo bierna wobec postulatów demokracji ludowej i socjalizmu.

Pozostałe 25% wywodzi się z warstw społecznych, które przed wojną nie miały możności posyłać dzieci na wyższe studia. Nie znaczy to jednak, że młodzież ta wolna jest od tradycji drobnomieszczańskich. Polonistyka warszawska ma swój specjalny klimat. Studentom wystarczają: uniwersytet, wykłady i seminaria.

Nie mogę pisać konkretnie o metodach badań i wykładu profesorów — nie byłam na żadnym wykładzie, ani seminarium. Nie mogą one jednak być dialektyczne ani socjologiczne. Nie mogą być nastawione na praktyczne i aktualne rozwiązanie problemów literacko - metodycznych.

Skąd te wnioski?

Studenci polonistyki nie czytają a raczej mało czytają rzeczy ukazujące się aktualnie (proza i poezja), prawie wcale nie czytają tygodników społ. - literackich. Słyszałam o tym i zaobserwowałam sama. Historia literatury tych rzeczy nie obejmuje, a własnej inicjatywy brak. Student nie czytający prasy, konkretnie w tym wypadku student polonistyki, to więcej niż skandal. Skończy, pójdzie uczyć i co? Będzie przekazywał wiedzę, uzyskaną na seminariach, wykładach, przy „kuciu się" do egzaminów, — bezkrytycznie, jak dzisiaj sam ją przyjmuje.

A skutki? Kandydatka na pierwszy rok polonistyki, odpowiada egzaminatorowi: „Tak, „Kuźnicę" znam, to pisemko dla dzieci". Inna przyznaje się, że nie miała nigdy żadnego tygodnika w ręku poza „Przyjaciółką" i „Przekrojem".

Dlaczego?

Nie czytają w domu, nie czyta i nie zwraca się na to uwagi w szkole średniej. A nasi poloniści — czy nauczą czytać, sami nie czytając? Jeśli dzisiaj nie mają czasu, później nie będą mieli go wcale. Przyjrzyjmy się tematom wykładów i seminariów na historii literatury za ubiegłe cztery lata: „Wesele" Wyspiańskiego, liryka: Kochanowski, Staff, „Dramat polski XVI wieku", Norwid, romantyzm, „Młoda Polska", literatura polska po 63 roku. Komentarze, technika przekładu (angielskie i Boy), technika edytorska. Mickiewicz, liryka Norwida (48/49), „Lalka" Prusa (48/49), XVIII wiek . Konwersatorium z literatury ludowej. Metodologia badań literackich, stylistyka i znowu wiek XVI, XVII i XVIII. Poza tym dla I i II roku obowiązujące są tzw. ćwiczenia wstępne: tragedia grecka, liryka, dydaktyka literatury.

Katedra językoznawstwa obejmuje gramatykę opisową, historyczną i słowotwórstwo.

Przedmioty poboczne brane przez polonistów, to przeważnie anglistyka, romanistyka, slawistyka, rzadziej filozofia, zupełnie rzadko historia, jeszcze rzadziej socjologia. Czasami dziennikarstwo. Obecnie kończy polonistykę 5—6 osób.

Tematy prac magisterskich: Maryla Wolska, literatura ludowa, Kolędy średniowieczne, Sienkiewicz, Tragedia pseudoklasyczna.

Te tytuły mówią i nie mówią. Wszystko zależy od ujęcia tematu, metody, przedmiotu pobocznego. W roku 1948/49 polonistyka warszawska wypuści około 80 absolwentów. Ktoś mi znany wybrał jako temat pracy magisterskiej: „Styl listów Słowackiego", Hm...! Wprawdzie polonistyka nie jest skupiskiem przyszłych literatów, poetów, publicystów, ani naukowców, (oni wybierają raczej studia filozoficzne, historyczne, socjologiczne, A.N.P.), ale czy zawód nauczyciela może ograniczać się li tylko do pewnego mniej lub więcej przyswojonego zapasu eklektycznych wiadomości?! Nabyte wiadomości, w czasie czterech lat wykładów i ćwiczeń, to jakby dojście do miejsca startu przyszłej działalności — obojętne, twórczej czy odwórczej.

Nieczytanie, brak aktywności w życiu organizacji i kół kładzie się z reguły na karb ciężkich warunków materialnych, przeżyć wojennych itp. Tę samą wymówkę stosują i poloniści warszawscy. Większość pracuje. Rodziny nie są w stanie ich utrzymać. Niewielka liczba w zawodzie nauczycielskim, część udziela korepetycji, większość siedzi po biurach, nie mających nic wspólnego z ich przyszłym zawodem. Praca zarobkowa odciąga od pracy intelektualnej, od rzetelnego traktowania studiów.

Jest grupa takich, którzy nie muszą i nie pracują, ale tych też ani widać, ani słychać.

Co interesuje polonistów?

Przypatrzmy się działalności Koła Polonistów, najbliższej, naturalnej, własnej, naukowo - towarzyskiej placówce polonistów warszawskich.

W roku 47/48 około 300 członków. Brak lokalu. Zaczepiono się przy seminarium Historii Literatury. Koło obejmuje sekcje:

1. Naukowa: Pracuje od listopada 47 r. nad przygotowaniem tematów na zjazd polonistów: Libert, Broniewski, Napierski. Zainteresowanie sekcją i jej pracami małe. Ludzi trzeba ciągnąć. Najwięcej udziela się obecny IV rok.

2. Pedagogiczna: w powijakach. Na rok 48/49 projektowana tematyka dydaktyczna.

3. Sekcja twórczości własnej: Nie ma się czym pochwalić. Mało ciekawa. Nie ma żadnej stałej grupy, żadnego kierunku.

4. Sekcja żywego słowa: stworzony zespół recytatorski. Brał udział w akademii 1-majowej i w tygodniu studenta.

5. Akcja popularyzatorska: polega na współpracy z „Czytelnikiem". Koło prelegentów, wyjeżdżających z referatami do Kół „Czytelnika". Tematy referatów z zakresu historii literatury i literatury współczesnej. Projekty wyszkolenia stałych, zawodowych prelegentów. Sekcja ta jest najruchliwsza i ma najwięcej szans rozwoju.

Na rok 48/49, projekt założenia klubu dyskusyjnego, ale... wyraźnego zespołu, kierującego kołem nie ma. Studentom wystarczają seminaria. Koło ich nie interesuje. „Każda dyskusja ujawnia olbrzymią większość ludzi „żadnych" — powiedziała mi prezeska — ludzi, którym wystarcza pewien zespół norm etycznych, jakie oni nazywają chrześcijańskimi. Są między nimi tacy, którzy „szukają" — ale brak im oparcia. Najsilniejsza jest grupa katolików — o tyle jednak nie mogą stać się ośrodkiem kierującym, że nie istnieją „katolickie" metody badania literatury.

Koniec końcem, wszelkie dyskusje obracają się w granicach tematyki natury artystycznej, albo ogólno - moralnej. Co robią ci ludzie poza uniwersytetem i pracą zarobkową?

Uprawiają kult próżniactwa intelektualnego — bo mimo wszystko mają dużo czasu na nic; wśród studentów medycyny i politechniki, utarła się opinia, że humanistyka to najłatwiejszy wydział, bo tam nic się nie robi.

Rozmawiałam z polonistką — chłopką. Ojciec, drobny rolnik (1,5 ha). Wojna światowa rzucała go tu i tam. Poznał świat. Chce, by dzieci miały lżejszy chleb, niż on. I córka znalazła się na uniwersytecie. Musi sama się utrzymywać. O stypendium nie starała się. Żyje z korepetycji. „Będą tam mówić, że jestem córką chłopa. Powiedzą, że się afiszuję, że chcę wykorzystać pochodzenie". Zapada na zdrowiu. Wygląda źle. Trzy lata temu wyglądała wiele lepiej. Należała do „Wici". Ale nie udzielała się. „Nie mam czasu, ja muszę patrzeć, aby skończyć".

Nie ma też czasu na czytanie pism. W indeksie od góry do dołu „b. dobrze". Bierze udział w konwersatorium literatury ludowej. „Nareszcie przyszedł czas na gwarę, stroje i obyczaje ludowe". Chce, by te rzeczy wróciły na wieś. O spółdzielniach zaopatrzenia, zbytu, produkcyjnych mało słyszała. „Pani myśli, że ja kiedyś będę zamożna? Zawsze będę biedę klepać. Taki już nasz los".

Brak w niej buntu i chęci radykalnej przemiany.

Na konwersatorium literatury ludowej szuka się związków między literaturą pisaną, a samorodną. Bada się gwary.

Dziewczyna zasili szeregi „Siłaczek" i „Emancypantek" w starym wydaniu.

To jest klimat polonistyki warszawskiej.

L. S.

NA OBRADACH DZIAŁACZY CHŁOPSKICH

REPORTAŻ POLITYCZNY

Drukujemy poniżej stenogram fragmentu przemówienia jednego z centralnych działaczy politycznych S.L-u, wygłoszonego na wojewódzkim zjeździe działaczy ludowych z terenu. Przemówienie to stanowiło podsumowanie dyskusji, dopełnienie odpowiedzi, które w dyskusji niedość wyraźnie objaśniały pytających. Przemówienie było improwizowane, wiązało się z głosami dyskutantów. Ten charakter dialogu politycznego, rzeczywiście mówionego i stworzonego przez rzeczywistą sytuację społeczną — naradę działaczy terenowych — skłonił nas do przedstawienia go czytelnikom, jako bardzo ciekawego typu reportażu. Kilkuset chłopów-działaczy z województwa. Przed nimi zagadnienie polityczne: walki klasowej na wsi i przyszłość wsi. W dyskusji rzucono pod rozważania pytania i wątpliwości, z jakimi spotkali się działacze w terenie, jakim niektórzy spośród nich sami ulegli. Podsumowujący głosy dyskusji te przede wszystkim brał pod uwagę. Punkty najdrażliwsze, najwięcej właśnie w walce klasowej przez kapitalistów wiejskich i ich sojuszników zamącone. Oto przed nami życie społeczno-polityczne. Oto dialog, który je wyraża i ukazuje na serio. Powstaje niezamierzony rodzaj literacki, jeszcze surowy, jeszcze dokumentarny, ale w tempie procesu społecznego, w którym uczestniczy i który tworzy. Bez czasu do namysłu, bez czasu do obróbki — wobec masowej publiczności, która go chwyta, aby działać społecznie.

REDAKCJA.

Proszę Was Ob. Jaskułowski, Wy mówicie, że chcecie zastosowania spółdzielczości produkcyjnej — nie powszechnie, a tylko na majątkach poniemieckich. A przecie walka klasowa i nędza chłopów średnio i małorolnych i ciemnota z tej nędzy wyrastająca jest wszędzie, także w Polsce Centralnej, nie tylko tam, gdzie są majątki poniemieckie.

Reforma rolna, bez przebudowy ustroju rolnictwa usunęła tylko wyzysk obszarnictwa. lecz nie usunęła wyzysku kapitalistycznego biednych przez bogatych na wsi, nie usunęła całego zła — to czy nie poto tu zebraliśmy się, aby radzić nad skutecznymi sposobami usunięcia niedoli i niesprawiedliwości? A jeśli nie wierzycie w omawiane tu sposoby — to jakie inne lepsze macie i dlaczego ich nam nie pokażecie?

Wielu z nas się tu wypowiadało, że przy rozwoju techniki w przemyśle i jej wpływie obniżającym cenę produktu przemysłowego w stosunku do ceny produktu prymitywnego rolnictwa w kraju, że przy zastostosowaniu techniki do rolnictwa we wszystkich kulturalnych krajach świata — nasze stare sposoby zacofanego gospodarowania ostać się nie mogą, bo są nieopłacalne i trzeba wprowadzić maszynę. Wydajność i opłacalność można podnieść tylko przy wyzyskaniu maszyn, nawozów i techniki — a to znowu da się zrobić na większych kawałkach gruntu, niż te szachownice i strzępki, na których każdy z narzekaniem, jak może, tak „sobie rzepkę skrobie".

To Wy nam na to powiadacie, Obywatelu Jaskułowski, że „jak człowiek o swoje nie zadba — to maszyna wydajności nie zrobi, a godziny pracy nam wyliczać będą". W tym co mówicie kłóci się jedno z drugim; bo jak człowiek zadba o swoje, to maszyna tylko pomnoży znacznie jego siły i owoce, a wtedy warto będzie liczyć godziny pracy. Dlaczegóż to robotnik dawno warsztaty rzemieślnicze zamienił na fabryczne maszyny i korzysta z 8-godzinnego dnia pracy, z ludzkiego życia i kultury, a chłop miałby się wyrzekać maszyny i techniki i żyć, jak to było za dziadków?

Pokpiwacie sobie Ob. Jaskułowski i z opłacalności w ulepszonych warunkach wspólnej i maszynowej uprawy — powiadacie dość złośliwie, że „niewiadomo, jak długo chłop w tym nowym ustroju będzie bogaty"; widać, że nie martwią was ci, którzy dziś nie są bogaci, bo bogacze i różni spekulanci ich wyzyskują; martwicie się zaś niepotrzebnie tym, jak długo bogacze będą bogaci; oni bez nas i bez Was dają sobie radę, a obowiązkiem naszego radykalnego Stronnictwa jest bronić tych biedniaków i średniaków, którzy stanowią główny trzon narodu — podstawową masę chłopską, którą nasza pomoc musi wydźwignąć z nędzy, mało kulturalnego życia i nieustającej orki.

Wyciągacie wniosek, że „zostaniemy się parobkami, a inni — te próżniaki — przyjdą i powiedzą, że to oni zrobili". Odpowiem Wam, Ob. Jaskułowski, słowami naszego przywódcy i starego bojownika radykalnego ruchu ludowego, marszałka Sejmu, Władysława Kowalskiego, który mówił na naszej Radzie Naczelnej tak: „zapytajcie bogatego chłopa, dlaczego biedny nie ma pieniędzy, a prawie zawsze on powie Wam, że ten biedny jest wałkoń (próżniak) i dlatego jest biedny. Każdy kapitalista, a więc i bogaci chłopi, którzy tak są pochopni do oskarżania biedniejszych chłopów o lenistwo, wolą oczywiście nie mówić o tym, w jaki to sposób oni dopracowali się majątku. Niech nam więc panowie bogacze wiejscy nie mydlą oczu rzekomą swoją pracowitością i dorabianiem się z własnej pracy".

Oto i dla Was odpowiedź! Wy Obywatelu Jaskułowski — radykalny ludowiec — daliście bogaczom i spekulantom wiejskim w siebie wmówić, że biedny to próżniak, który chce z Waszej pracy skorzystać. W tej samej sprawie ktoś z kolegów stwierdził w dyskusji, że istnieje u nas jeszcze nieuzasadniony mit o niezastąpionych, bo „fachowych" bogaczach lub z nimi związanych urzędnikach radnych, wójtach itd. Czy to jest tylko mit (legenda) — ta uległość wobec bogatych? Czy nie ma tu kompleksu niższości, a nawet zamiłowania do tego, aby mieć swojego pana, bez którego żyć nie można, ciągle kogoś całować w rękę, komuś czapkować — jeśli nie obszarnikowi, to przynajmniej bogatemu chłopu? Czy w tym uwielbieniu dla bogacza a wymyślaniu biednemu od próżniaków — nie obraża radykalnego ludowca upokorzenie i niesprawiedliwość?

Powiadacie, że „tylko z początku chłop był starostą — a potem go usunęli, mówiąc, że za mało umiał". My wiemy, że były wypadki, gdy nacisk sił reakcyjnych, co się wkradły pod firmę partyj demokratycznych — tu i ówdzie mądrego i uczciwego chłopa zdołał wypchnąć i zastąpić karierowiczem; właśnie tym ludziom i tym faktom, tym „kmotrom", reakcyjnym karierowiczom i spekulantom wypowiedziały walkę partie nasze, uradykalniając w ostatnich miesiącach swój program Zadaniem Waszym jako aktywu partyjnego będzie tych ludzi przed władzami i partiami ujawnić — dopomóc do uwolnienia od nich biedoty chłopskiej. Ale my znamy również inne wypadki. Zdarzało się tu i ówdzie, że na urząd dostał się choć i biedny, ale chłop, który działał razem z „kmotrami" na szkodę biedniaków. Komisja Specjalna usunęła już niejednego takiego szkodnika — i słusznie — dla dobra chłopów. My musimy raz jeszcze tu postanowić i stwierdzić, że od góry do dołu —nie ma u nas w partii miejsca dla tych, coby chcieli legitymować partią swoje nadużycia wobec masy biedniaków, co by chcieli w ten sposób gwałcić program i krzywdzić opinię o partii. Waszym zadaniem jest ich usuwać i zastępować uczciwymi.

My wiemy również Obywatelu o klasowym użyciu ludzi głupich. Marszałek Sejmu, Władysław Kowalski opowiadał nieraz, jak to za carskich czasów przyjeżdżał do wsi „stupajka" i zbierał chłopów, by głosowali—czy chcą szkoły, czy nie. I był taki jeden, który pierwszy z gromady występował, że to uważał się za starszego i mówił „noma tam — panie starszy, szkoły nie trzeba, bo to i koszt i zepsucie i obraza bosko". A potem, gdy przyszła Polska Niepodległa chłopi tego mądralę za poradą proboszcza na posła wybrali, a on prawicy służył i o chłopów nie dbał, bo nie był uświadomiony, choć i biedny.

Robicie też zarzut, że „nauka była bezpłatna tylko chwilowo — a wnet pójdziemy na programy jędrzejowiczowskie". Wystarczy przejrzeć Manifest P.K.W.N., aby się przekonać, że był to program uczciwy, z którego 90 proc. zapowiedzi już spełniono lub się wypełnia a resztę na pewno się wypełni.

Komu? Sobie, nam tu zebranym — czy narodowi robicie zarzut, że dotychczas, w odbudowie wyssanego z soków żywotnych, ograbionego i zrujnowanego przez okupanta i wojnę kraju, nie stać było nas zrobić naraz i do reszty wszystko. Czyje to dzieci z reguły kończą na 4 oddziale szkoły powszechnej, czyje idą dalej? Nie wiecie? Są stypendia państwowe. Jest ich po trzech latach, wobec okresu przedwojennego — dużo. I jest ich jeszcze mało dla mas młodzieży chłopskiej. Ale są prywatne fundusze, które popychają na wyższe uczelnie czyje dzieci — nie kułackie? A czy Wy się bijecie, tam na dole we wsi, w gminie, o prawo do reprezentowania młodej wsi przez dzieci zdolne? O fundusz od tych co mają, na tych, którzy mogą być umysłową i społeczną siłą narodu chłopsko-robotniczego? I kogo to chcecie posądzić o jędrzejowiczowskie zamiary? Rządy chłopsko-robotnicze, którymi kierują syn i przywódca klasy robotniczej Prezydent Bierut, czy także syn robotniczej klasy Premier Cyrankiewicz, czy syn i przywódca radykalnych chłopów Marszałek Sejmu Kowalski?

Życzycie Obywatelu Jaskułowski „temu chłopsko-robotniczemu rządowi, aby wreszcie zadbał o chłopów". Ta właśnie troska — wyrażona w Waszym życzeniu była powodem, że Kierownicy Władz Państwowych w partiach swoich — jako politycy — wysunęli żądanie pomocy chłopom średnio i mało-rolnym w walce klasowej i opieki nad nimi. Bo rząd posyłał i nawozy i maszyny i ziarno siewne i kredyt, tylko — że chłop nie umiał ich spewziąć, nie dał sobie rady z bogaczami i spekulantami. Dopuścił razem z partiami do tego, że „kmotry" obsiedli urzędy gminne, Rady gminne, Zarządy Samopomocy Chłopskiej, spółdzielnie, ośrodki maszynowie i dzielą między siebie, a o całej masie chłopskiej zapominają, nie to — nie chcą jej dopuścić. I my tu dlatego radzimy, jak ich odsunąć, aby — zanim Rząd rzuci jeszcze większą pomoc w nowym planie gospodarczym na wieś — oni już jej nie dzielili między siebie.

Obywatel Kieszek powiada, że „gminne spółdzielnie i resztówki źle gospodarują, że brak zaufania do uczciwości na wsi — i nie tak prędko uczciwych i umiejętnych wychowamy", a Kolega Rafalski dodaje, że „po nadużyciach w spółdzielniach został niesmak i takich spółdzielców ludzie się boją". Ja myślę, że słusznie się boją takich — niby — spółdzielców, ale stanowczo niesłusznie byłoby bać się spółdzielczości. Pewnie, że w spółdzielniach mamy różnych ludzi; ci ze spółdzielni rolniczo-handlowych fachowcy najlepsi, ale nie mało tam jeszcze dziedzicowych fachowców, musimy im pomóc szybko przebudować się na chłopskich fachowców, albo wyszkolić nowych, na miejsce tych, którzy nie potrafią. I ci ze sklepów społemowskich — nieraz wyrośli w kramikarstwie; a myśmy przebudowali spółdzielczość po to, aby uwzględnić nie tylko handlowe — czy gorzej: kramikarskie — ale przede wszystkim **produkcyjne** potrzeby wsi; musimy znowu przebudować wielu z tych, co myślą tylko o wysokich marżach — o spekulacji — o kramikarstwie; oni muszą czuć potrzeby wsi i dla tych potrzeb pracować, a nie odmawiać się od nawozów, bo za niska marża; wreszcie ci z nowych spółdzielni samopomocowych — niezawsze fachowi, niezawsze wypróbowani w rzetelności; musimy ich uczyć, uczyć i uczyć. Ale spośród każdej z tych grup znajdziemy masę dobrych, mądrych ludzi, oddanych biedniakowi i średniakowi, nie „kmotrów", znajdziemy dość nowych niewykorzystanych dla uzupełnienia już dziś, tylko trzeba Wam w terenie tę robotę zrobić; trzeba tę walkę klasową z bogaczami i wyzyskiwaczami „kmotrami" stoczyć i zmienić życie na lepsze.

Pytacie Obywatelu Kieszek — „jakby wyglądała przy gospodarce zespołowej chłopska produkcja nierogacizny?" Żąda wyjaśnienia Kolega Szydłowski: „jakby następował rozdział wspólnych plonów, na przykład przy 2 hektarowym gospodarstwie i 4 ludziach pracujących — a jak przy 5 hektarowym gospodarstwie i 2 ludziach pracujących?" Wreszcie powtarza troski wsi Kolega Rafalski w słowach: „wszystko mam oddać i chodzić na dzwonek, z jednej miski jeść — a co będzie na starość?"

Wygląda na to, że żądacie od nas jakiejś recepty — jak ma być, albo powtórzenia Wam, jak tam „na górze" postanowiono?

A ja Wam Koledzy odpowiadam — myśmy tu do Was przyjechali — i tak samo jeździmy gdzieindziej, aby **z Wami — z chłopami** przedyskutować, jak usunąć zło i jak zrobić, aby było dobrze.

Nie mogę Wam powiedzieć, jak ma być w spółdzielniach produkcyjnych, bo to wieś musi sama wypracować—wieś sama będzie uchwalać statuty, z czym ma każdy do spółdzielni przystąpić: z robotą tylko, czy także z polem i narzędziami, a wreszcie czy także z bydłem i nierogacizną — czy bez; to już każdy z Was sam zadecyduje, jak będzie chciał. takich rzeczy nie robi się przy biurku i nie da się zrobić — i nikt tego nie chce.

Mogę wam przypomnieć czego domagali się na ten temat chłopi w ruchu ludowym 40 lat temu jeszcze w „Zaraniu". W roku 1898 pisał Maksymilian Malinowski:

„Każdy z nas wie, jak ciężko owym parcelantom, inwentarza nie mają, narzędzi nie mają, wszystko kup, a po grosz idź do lichwiarza. Gdyby zaś tu była jedność, solidarne wspomaganie się, to jeszcze za składowe pieniądze łatwo byłoby o wspólne, doskonałe narzędzia lub maszynę, łatwiej byłoby założyć sad i sadzawkę z rybami zaprowadzić, rozpłodnika dobrego kupić, a tak wszyscy korzystaliby z tego, dorabialiby się i pojedyńczemu gospodarzowi byłoby lepiej".

Polski Związek Ludowy (zawiązek Stronnictwa Ludowego) przewidywał wtedy: „Spółki rolne, organizujące wspólne nabycie przedmiotów gospodarskich i artykułów spożywczych, wspólną sprzedaż produktów rolnych i przemysłu rolnego i wspólną produkcję w zakresie mleczarstwa, hodowli, sadownictwa i t p.".

W roku 1912 pisano na temat „Związków przyjaźni" w „Zaraniu": „Możemy streścić zadanie „Związków Przyjaźni" w dwu głównych punktach: 1) chronienie ludzi wspólnymi siłami stowarzyszonych przed nędzą, wyzyskiem, krzywdą i ciemnotą, tak, jak się broni przyjaciela i brata oraz 2) tworzenie i szerzenie życia kooperatywnego ludzi we wszystkich formach: w gospodarstwie, handlu, przemyśle, finansach i oświacie". W rok potem pisze tamże chłop Tarasiuk: „Ażeby zapobiec gaśnięciu rozrzuconych rzadko świateł, myśl moja myśli, tak: zebrać się całą gromadą w sto lub najmniej pięćdziesiąt osób, bo im większa gromada, tym lepiej kupić folwark odpowiedni i założyć wioskę nowego typu, zacząć sobie gospodarzyć wspólnie i pokazać jak to można postawić i u nas kulturę wysoko". A historyczny program uchwalony na Kongresie Stronnictwa Ludowego w roku 1935 — mówi: „Techniczne, ekonomiczne i organizacyjne braki i niedomagania indywidualnej, drobnej gospodarki rolnej wypełni spółdzielczość. Będzie ona wnikać coraz to głębiej we wszystkie nadające się dziedziny życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego stwarzając nowy system gospodarowania i współżycia człowieka z człowiekiem w oparciu o harmonijne zespolenie pierwiastków indywidualnych z kolektywnymi (zbiorowymi)."

Pytacie nas co my myślimy o tym? — Nic nowego! Wydaje się nam, że mogłyby być na przykład trzy sposoby zorganizowania się w spółdzielnie, pierwszy — zorganizowani w spółdzielni chłopi wspólnie uprawiają **swoją** ziemię, sieją i zbierają a potem dzielą między siebie plony według tego, ile kto ma ziemi, ile wniósł inwentarza oraz ile pracował z

Fot. J. Chluski

rodziną; ziemia pozostaje własnością, bydło i trzoda również na własnej zagrodzie; plon można dzielić tak na przykład: 40 proc. według ilości ziemi, a 60 proc według ilości pracy; drugi sposób — chłopi nie tylko uprawiają, sieją i zbierają, ale i hodują bydło i trzodę w spółdzielni, z tym — że i u siebie na zagrodzie mają pewną ilość bydła; ile sobie w statucie uchwalą oraz ile kto chce, tyle trzody chlewnej i drobiu, bez ograniczeń; a plon dzielą wg. pracy przede wszystkim— a także w mniejszym procencie wg. ziemi. Wreszcie trzeci sposób — na przykład związek spółdzielczy obejmuje wszystko i ziemię i narzędzia i hodowlę z tym, że każdy ma swoją zagrodę z ogródkiem i inwentarzem na swoje tylko potrzeby — nie na handal — w takiej ilości, jak sobie uchwalą w statucie; plony dzielą tylko wg. pracy. Mogą też być specjalne spółdzielnie — na przykład tylko hodowlane w budynkach podworskich, które się na resztówkach marnują.

Nikt nie myśli o tym i byłoby niesłuszne, żeby chłop oddawał do spółdzielni wszystko —i nikt nie każe mu chodzić na dzwonek i jeść z jednej miski, jeśli woli spełniać swój obowiązek bez dzwonka, a gotować i jeść u siebie. I czego tak się boją wrogowie chłopa dzwonka w spółdzielni, kiedy chłop przywykł do dzwonnicy i nie szczędził ofiar na nią: Myślimy zaś wszyscy o tym i tak być musi, aby chłop na starość miał zabezpieczenie w spółdzielni — lepsze niż dotąd, bo dotąd z dożywociem bywało tragicznie.

W każdym zaś razie **mowy nie ma o tym, by ktoś nie miał prawa do własnej hodowli** krowy, trzody i drobiu — **oraz własnej zagrody z ogródkiem** — tylko złośliwi wrogowie mogą tak straszyć chłopa, który zresztą sam przecie będzie decydował jak ma być — jaką spółdzielnię założyć, z jakim statutem i czy przystąpić do niej czy nie. Nikt nie będzie zmuszał spekulantów i bogaczy, którzy sami nie chcą i drugich straszą, bo się boją konkurencji biedniaków i średniaków — zjednoczonych i równych tym, co się nad nich wywyższają z powodu bogactwa, w pojedynkę. Boją się, bo nie będą mogli tak wyzyskiwać gromady, jak wyzyskują pojedyńczego biedniaka. Bo **gromada** będzie decydować o wójcie, sołtysie, prezesie spółdzielni, czy Związku Samopomocy Chłopskiej, a nie jak dotąd, bogacze i ich „kmotry" — kupieni popiecznicy.

I czego krzyczą oni, że nie chcą spółdzielni produkcyjnych, kiedy biedniak i średniak do swojej spółdzielni ich nie wpuści — i nie powinien wpuścić żeby mu znowu nie prezesowali wbrew jego interesom. Ale dlatego właśnie szczują i szeptają po mikołajczykowsku, czy też po papiesku.

Bo mówił nam tu Obywatel Szota, że gdzieś tam w jego okolicy księża wzywają chłopów z ambon: „módlcie się, bo Polska ginie!" Jeżeli są między nimi tacy, bardziej marshallowscy rzymianie niż Polacy, którzy nie widzieli upadku Polski w feudalnej przemocy nad chłopami, którzy nie widzieli wyzysku i ciemnoty na wsi i w tym nie dostrzegli upadku Ojczyzny — a dziś słuszną walkę o wyzwolenie najbardziej pokrzywdzonych, o sprawiedliwość społeczną, uważają za zgubę Ojczyzny i każą się chłopom modlić — oczywiście przeciwko rządowi i partiom, które czynią sprawiedliwość na polskiej ziemi — to powiedzcie Obywatelu Szota tym niedobrym pasterzom, że będą się wszyscy chłopi modlić jak najżarliwiej, jeśli oni nas będą wzywać do modlitwy, o to, aby w Polsce byli wyłącznie tacy księża, którzy się ujmują tylko za biedotą, a nie za bogaczami i wyzyskiwaczami, aby w Rzymie byli tylko tacy papieże, którzy płakać będą nie nad „biednymi Niemcami" — hitlerowskimi zbrodniarzami, a nad milionami ofiar padłych z ich zbrodniczej ręki w Polsce, w zwierzęcych torturach — i nie dla imperializmu amerykańskiego i Niemiec Zachodnich wraz z Marshallem, lecz dla nas będą u Boga wypraszać okrwawione naszą i ojców naszych krwią Piastowskie Ziemie Odzyskane. Mniej będzie wtedy w Polsce niesprawiedliwości pod dymną zasłoną słów o miłości bliźniego. Niech oni posłuchają głosu kobiet wiejskich, tu przez Kolegę Rafalskiego powtórzonych. Kiedy to skończy się niewola kobiety w kieracie od świtu do nocy około licznych dzieci, dla których brak we wsi dziecińca, około bydła i trzody, dla których brak porządnej spółdzielczej obory i maszyn do dojenia i fachowej obsługi, około skrawka ziemi własnej — na której brak maszyn zmusza kobietę wiejską do nieustającej, niewolniczej pracy. Kiedy wreszcie ta kobieta wraz z chłopem będzie miała czas na zajęcie się spółdzielnią, czytelnią, książką, gazetą, radiem i teatrem ludowym — i kiedy jej dzieci będą miały higienę i oświatę w dziecińcu i przedszkolu — zamiast z koszulina w zębach o głodzie, i chłodzie już pasać bydło i gęsi. Z uznaniem podkreślić muszę stanowisko, ob. Mincbergowej, która powiedziała, że „rozpatrując sprawę dalszej reformy na wsi, nie o własnych ciasnych nałogach i nawykach myśleć musimy, ale przede wszystkim o wyzwoleniu kobiety wiejskiej z niewoli, wyzysku i ciemnoty, o przyszłości ludzkiej naszych dzieci i o sile obronnej — o przyszłości naszej Ojczyzny". I na to wszystko wstaje Obywatel Zemsta i usiłuje nas namówić byśmy Jej „ze względów formalnych głos odebrali, bo mówi „od rzeczy"; jeśli dla Obywatela Zemsty te słowa o najistotniejszej prawdzie są od rzeczy — to widać go nie obchodzi los kobiety wiejskiej, dziecka chłopskiego i przyszłość Ojczyzny, albo są to dla niego sprawy obce· co i potwierdził, bo nic więcej nam nie miał do powiedzenia — zrobił swoje, znudził się i wyszedł. Kolega Szota, powtarzając głosy wsi, zapytuje — „co będą robić ludzie gdy będą maszyny" — odpowiadam; maszyny dadzą wydajność i opłacalność,a człowiek będzie je przecież obsługiwał — same wszystkiego nie zrobią; oczywiście nie trzeba będzie tyle „charówki" co dotychczas. Człowiek zbędny, zwłaszcza młodzież, wejdzie na drogę awansu społecznego, po odbyciu szkół pójdzie do przemysłu — a ci co zostaną zamiast po 18 godzin na dobę pracować, popracują 8 godzin i wreszcie zaczną korzystać — jak ludzie — z książki, gazety, radia i kina. Przemysł dużo ludzi weźmie na majstrów, bo trzeba wsi uspółdzielczonej dużo dać przede wszystkim traktorów, maszyn, nawozów itd. — bez tego my wsi uspółdzielczać nie będziemy i nie możemy — nie byłoby sensu.Chodzi przecież o to by i chłop jak robotnik — korzystał z techniki.

Słyszeliście Obywatele, że rząd będzie mógł w najbliższych latach co rok tylko jednej setnej wsi dać maszyny, nawozy, ziarno siewne, kredyty dla uspółdzielczenia i choć byście chcieli, nie będzie można więcej uspółdzielczyć — nie będzie można pozwolić na to, bo bez maszyn, nawozów, bez techniki i kredytów, bez wyszkolonych ludzi — nie ma sensu. Jest zatem sprawa przyszłości zależna od możliwości państwa i od Waszej woli. Ta sprawa się „nie pali" i będziemy mieli dość czasu dobrze ją przemyśleć, przygotować i załatwić!

Dziś najważniejsze jest co innego. Podnieść poziom fachowy i rzetelność tych spółdzielni, które są, ożywić działalność gminnych Rad Narodowych, Zarządów Gminnych i Zarządów oraz Kół Związków Samopomocy Chłopskiej w interesie biedniaka i średniaka, w jego obronie przeciw bogatemu i wyzyskiwaczowi. Naszym obowiązkiem będzie oczyścić kierownictwo tych wszystkich urzędów i instytucji od bogaczy, wyzyskiwaczy, nieuczciwych i „kmotrów". Naszym obowiązkiem będzie zagospodarować resztówki — szczególnie zakłady przemysłowe na nich, dbać o elektryfikację wsi, o radio i kino na wsi; o czytelnię i bibliotekę i zespół amatorski. o dzieciniec — przedszkole i ośrodek zdrowia; zakładać spółdzielcze piekarnie i pralnie itd. A przede wszystkim zadbać musimy, by maszyny w ośrodkach nie stały, a pracowały, dla biedniaków i średniaków, by kredyt — bez poręki wyzyskiwacza — dostawał biedniak i średniak, by dla niego były nawozy sztuczne i ziarno siewne. By z nim się kontraktowało uprawę roślin przemysłowych. My musimy nie tylko dbać my musimy bić się o to, bić się o każdą słuszną sprawę biedniaka od dołu aż do góry — aż do skutku.

L. S.

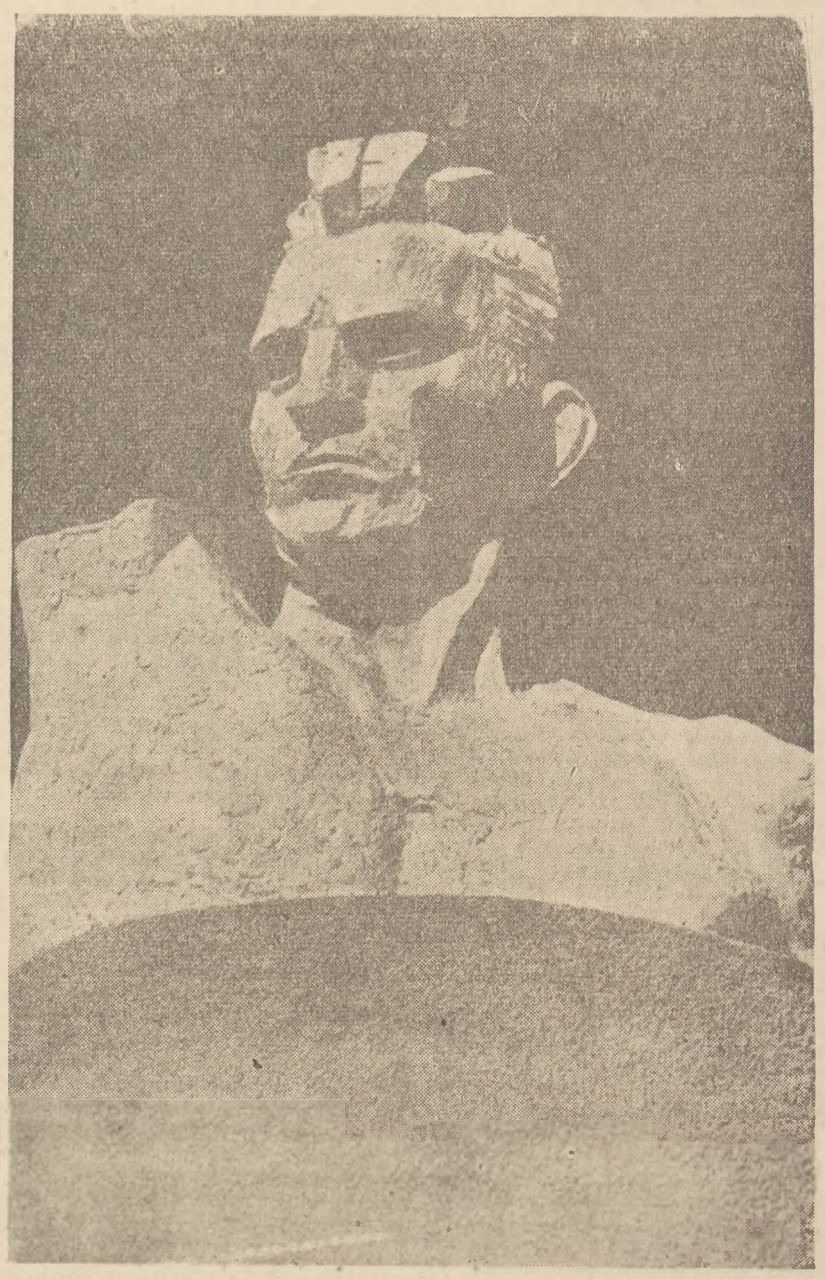

W b. roku K. Dunikowski obchodzi 50 rocznicę twórczości artystycznej. Na zdjęciu: rzeźba K. Dunikowskiego — Robotnik — na wystawie Z. O. we Wrocławiu

Plakat, który zapowiada zjazd

Zjazdy kół polonistycznych mają swoją tradycję, która sięga 1946 r. Trzeba przypomnieć tę datę, gdyż pierwszy zjazd młodej polonistyki łączy się ściśle z ówczesnym wydarzeniem kulturalnym dużej miary — dyskusją o młodzieży.

Zjazd polonistów był chyba pierwszym po wojnie ogólnopolskim zjazdem grupy zawodowej, przekrojem przeciętnych poglądów, które panowały wówczas w środowisku studenckim. W momencie, gdy trwał wśród młodzieży kompleks akowski, szerzyły się apatia i oszołomienie historycznymi wypadkami, gdy ogromna część młodzieży była na stałej wewnętrznej emigracji, „Kuźnica" w ostrym „Pamflecie o młodszym bracie" dała śmiałą ocenę i analizę sytuacji młodego pokolenia. Odezwały się inne pisma: problem młodzieży zaczęto oświetlać z różnych ideologicznych stanowisk.

Młodzież włączyła się do dyskusji o sobie. Tłumaczono i usprawiedliwiano to, że młodzież jest niedouczona walką konspiracyjną podczas okupacji, a ciężkimi warunkami — po wojnie. Wyliczano krzywdy, jakie wyrządziły młodzieży lata deprawacji wojennej i bezkompromisowa taktyka rewolucji. Ale stale nie dotykano najbardziej istotnego ideologicznego sensu problemu młodzieży.

Jawne sformułowanie rodowodów postawy młodzieży wobec nowej rzeczywistości, wypowiedzenie zarzutów i pochwał — było najbardziej palącą potrzebą społeczną. Referat Hanny Kulągowskiej o „Obliczu młodzieży", który wywołał na zjeździe płomienną dyskusję, sumował i uzupełniał marksistowską ocenę młodego pokolenia. Na pierwszym zjeździe polonistów postawiono słuszną prognozę, że odrodzenie pokolenia może się tylko dokonać na drodze włączenia młodzieży do nurtu rewolucji społecznej. Trafność wniosków sprawdzamy dzisiaj — po kilku latach — na rzeczywistości.

Pierwszy zjazd młodej polonistyki trzeba oceniać w kategoriach światopoglądowych i organizacyjnych, pożytków, jakie przyniósł powojennej młodzieży w znalezieniu właściwych sposobów uczestniczenia w życiu naszego społeczeństwa. Rezultaty naukowe pierwszego zjazdu polegały na zwróceniu uwagi młodym badaczom literatury na zagadnienia metodologiczne.

Reaktywowany związek kół polonistycznych, jako stała instytucja, utrwalał cenną inicjatywę wspólnej pracy młodzieży polonistycznej w całym kraju.

W rok potem, w 1947, spotkaliśmy się na nowym zjeździe, który nosił ze względu na określoną problematykę zupełnie inny charakter. Drugi zjazd był rozprawą między materialistycznym pojmowaniem literatury a formalizmem i innymi idealistycznymi kierunkami literaturoznawstwa. Dotychczasowemu zespołowi tradycyjnych metod przeciwstawiono twórczy kierunek marksistowskich badań nad literaturą.

Wobec nowego rywala zapomniano o dotychczas ważnych różnicach wewnątrz metodologii tradycyjnych kierunków badawczych. Na zjeździe nie starły się zupełnie, prowadzące dotąd walkę systemy formalizmu i różnych odmian idealizmu.

Ukazanie problematyki nowatorskiego nurtu w badaniach literackich było najwartościowszym — w rozumieniu ogółu — osiągnięciem drugiego zjazdu krakowskiego. Zjazd jednak ze względu na typ problematyki robił wrażenie nadmiernego komplikowania przez zapalonych metodologów spraw teorii literatury. Postanowiono, że zerwiemy na przyszłość ze zmową metodologów.

Nakreśliłem powyżej w głównych rzutach perspektywę, w której można ustalać horoskopy nowego, trzeciego, łódzkiego Zjazdu (30.10.—3.11.1948). Zjazd będzie dotyczył trudnej problematyki poezji międzywojennych lat i ma mieć — w przeciwieństwie do poprzednich — charakter historyczno-literacki.

Anna Kamieńska w przedostatnim numerze pisma określała beznadziejną sytuację aktualnej wiedzy o poezji. Żadnej usystematyzowanej terminologii, żadnych wystarczających rygorów postępowania naukowego, ani żadnych omal obcych wzorów. W tych warunkach przystępowanie do badań nad poezją — jest krokiem śmiałym.

Trudno jest od zjazdu oczekiwać, jakkolwiek nie należy sprawy przesądzać, prac epokowych czy genialnych. Traktujemy zjazd jako niezbędne parodniowe studium, w czasie którego chyba uda nam się ustalić istotną problematykę nauki o poezji; zestawić wszystkie narzędzia, jakie służą sekcji poezji, jej opisowi i wyjaśnieniu; oraz wypróbować zastosowanie metod do trudnego materiału poezji.

Nie zdajemy się wyłącznie na własne siły. Liczymy na czynny udział najbardziej kompetentnych „głów", które nasze wysiłki poprą erudycją historyczną, wiedzą metodologiczną i doświadczeniem badawczym.

W zakres zagadnień „do dyskusji" wchodzi obszerna i skomplikowana kwestia ocen estetycznych i gustów literackich. Zamierzamy pokazać, jakie związki zachodzą między życiem społecznym a skłonnościami klas i grup społecznych do pewnych typów wartości kulturowych i estetycznych. My osobiście jesteśmy zaangażowani w ten teoretyczny problem. Oto stoi przed nami realna troska o gusty naszego pokolenia, wychowanego na tradycyjnej i mieszczańskiej poezji okresu międzywojennego. Drogą krytyki pragniemy uświadomić naszemu pokoleniu wsteczny sens określonych jego estetycznych skłonności.

Zjazd po raz pierwszy odbywa się w Łodzi, ośrodku, który na dotychczasowych zjazdach reprezentował najbardziej postępowe stanowisko.

Pragniemy, aby ze względu na wagę i aktualność problematyki zjazdowej trzeci zjazd polonistyczny wart był zanotowania jako ogólnokrajowego wydarzenia kulturalnego.

Tadeusz Drewnowski

Mieczysław Grad

Walka klasowa na wsi rzeszowskiej

OBRAZ WSI W.

Wieś W. położona jest w województwie rzeszowskim. Zajmuje obszar 636 ha. Gleba jest niezła — rodzi się na niej i pszenica i buraki cukrowe. Z owych 636 ha 400 należy do mieszkańców wsi, którzy prócz tego na terenie wsi sąsiedniej posiadają jeszcze 100 ha. 236 ha położonych na terenie W. należy do chłopów pozamiejscowych. W skład zaś 500 ha należących do mieszkańców W. wchodzi 50 ha ziemi pochodzącej z pobliskiego folwarku obszarniczego rozparcelowanego w r. 1944. Otrzymała je przeważnie b. służba folwarczna. Ogółem gospodarzy, którzy by grunta posiadali w jednym kawałku, jest zaledwie kilku. Przeciętnie każdy gospodarz ma grunt w kilku kawałkach. A więc pola na terenie W. stanowią tzw. szachownicę.

W. ma kształt ulicy. Po obu stronach drogi stoją domy tworząc dwuszereg biegnący lekkimi zygzakami przez kilka kilometrów. Obok tej zasadniczej części wsi jest jeszcze kilka przysiółków. Na terenie największego z nich rozsiadła się przeważnie biedota żyjąca przed reformą rolną głównie z roboty „na pańskim" (folwark w sąsiedztwie).

Przeciwległy „koniec" wsi zawiera stosunkowo większą liczbę gospodarstw większych. Gdyby używać topograficznych terminów stosowanych przez mieszkańców wsi, trzeba by dojść do wniosku, że wieś W. składa się z 2 „końców", natomiast nie posiada „środka". Właśnie mniej więcej w owym środku, nad rzeczką, którą żaby przeskakują bez wysiłku, stoi szkoła.

Nie ma oczywiście elektryczności: znaczna liczba zabudowań posiada dachy kryte słomą, choć — przyznajmy — domy nowobudowane kryte są przeważnie dachówką (nawiasem warto stwierdzić ożywiony ruch budowlany po wojnie). Nieliczne domy murowane. Wiele chałup posiada zaledwie jedną izbę — kuchnię, w której się gotuje dla ludzi i dla świń (jeśli są), w której się jada, śpi, pierze, piecze chleb i przyjmuje gości. W tymże lokalu trzyma się często także małe świnki (bezpośrednio po ich przyjściu na świat) oraz młode kury, kaczki czy gęsi. W każdej chacie jest „obowiązkowo" sień, nieraz przewyższająca rozmiarami izbę. Tutaj znowu stoją zwykle żarna, które pod względem konstrukcji i wyglądu zapewne prezentują się całkiem podobnie, jak za czasów Bolesława Chrobrego.

Są chaty o izbach bez podłóg. Szczyt komfortu w dziedzinie mieszkaniowej wyraża się w posiadaniu kuchni i 2 izb. Takich wypadków jednak naliczyć można najwyżej kilkanaście.

Przez wieś prowadzi gościniec wybudowany wielkim wysiłkiem gromady w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Jest wspomniana wyżej szkoła murowana o 2 salach. Jest dom ludowy z pustaków i cegły, posiadający salę i scenę oraz przybudówkę, w której mieści się spółdzielnia. Obok domu ludowego remiza strażacka, w której stoi sikawka do gaszenia pożarów. O chodniku i parku strażackim z basenem będzie jeszcze sposobność wspomnieć. Przeciętna odległość wsi od najbliższego miasta (które jest równocześnie siedzibą władz powiatowych) wynosi 6 km. Nieco mniejsza odległość od stacji kolejowej.

Domów mieszkalnych jest we wsi 236 na ogólną liczbę rodzin 270; ogółem ludności 1120 osób. Jeśli więc przyjmiemy, że dom zawiera przeciętnie 2 izby (wliczając tu owe uniwersalne kuchnie, które dla wielu najbiedniejszych rodzin stanowią jedyną przestrzeń mieszkalną) to na jedną izbę przypadają mniej więcej 3 osoby. Oczywiście dla rodzin najbiedniejszych liczba ta będzie wyższa.

Zróżnicowanie zawodowe przedstawia się następująco: oprócz 2 rzemieślników zarejestrowanych, kilkunastu pokątnych, kilkunastu „majstrów od wszystkiego", 3 nauczycieli, sprzedawcy sklepowego i kilkunastu dorabiających w okolicznych fabrykach, pozostali zatrudnieni są wyłącznie w rolnictwie. Gospodarstw jest tyle ile rodzin, tzn., że nawet nierolnicy (rzemieślnicy, kierownik szkoły itp.) zajmują się rolnictwem. Z ogólnej liczby 270 gospodarstw, 240 to gospodarstwa o powierzchni nie przekraczającej 2 ha. Gospodarstw o powierzchni od 2 do 5 ha jest 20. Ponad 5 ha 10 gospodarstw.

Gospodarstwa nastawione są na produkcję rolniczą (żyto, pszenica, owies, rzadziej jęczmień, ziemniaki, buraki cukrowe — już przed wojną uprawa ta rozwinęła się w ramach kontraktów z cukrownią) i hodowlaną (krowy, konie, trzoda chlewna, kury, rzadziej kaczki i gęsi, u najbiedniejszych zamiast krów także kozy). Pastwiska gromadzkiego nie ma. Bydło wypasa się na łąkach i specjalnie w tym celu zostawionych „ugorach" oraz na polnych drogach i miedzach, których na owej „szachownicy" jest dosyć dużo. W okresie zimowym podstawową karmę dla bydła stanowią: sieczka ze słomy, siano (głównie z koniczyny), buraki pastewne.

Chłop 5-morgowy (ok. 3 ha — 1 mórg = 0,56 ha) posiada zazwyczaj 1 konia, 2 krowy, cielę, 1 świnię „dorosłą" i ewentualnie kilka małych oraz kilkanaście kur, rzadziej gęsi lub kaczki. Koń dla tutejszego chłopa to tak jak ostrogi dla rycerza. Masz konia, to jesteś gospodarz. Nie masz konia, to jesteś dziad. A jeżeli masz 2 konie, to jesteś kmieć. Inna rzecz, że ten koń niejednokrotnie więcej „zeżre" niż zarobi. Trzeba jednak dodać, że tutejsza ciężka w uprawie gleba wymaga 2 koni do orki.

Narzędzia pracy są bardzo ubogie. Jest we wsi u najzamożniejszych gospodarzy kilkanaście kieratów łącznie z przystosowanymi do nich małymi młockarniami. Siewniki można policzyć na palcach. W ostatnch latach przed wojną dużą popularność zdobyły i utwierdziły ją w czasie wojny tzw. „motorówki", tj. młocarnie o spalinowych motorach. Są one wypożyczane przez pozamiejscowych właścicieli-przedsiębiorców za „odpowiednią" opłatą. Starsi, konserwatywni gospodarze młócą w ten sposób tylko pszenicę, żyto zostawiając pod cepy, chcą bowiem mieć równą słomę na poprawienie strzech. Znacznie gorzej technicznie przedstawiają się żniwa na polu. Oto większość używa sierpów, słabo wypieranych ostatnio przez kosy. Oczywiście drobniejsze czynności produkcyjne są niejednokrotnie jeszcze gorzej technicznie wyposażone. Wspominałem o żarnach, w których miele się „dla świń", ale nieraz, zwłaszcza na przednówku, i dla ludzi. A rżnięcie sieczki ręczną „maszyną"? Oprócz wspomnianych już szkoły, spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i Straży Pożarnej na terenie wsi istnieją jeszcze: Koło Związku Samopomocy Chłopskiej, Koło Stronnictwa Ludowego, Koło Polskiego Stronnictwa Ludowego, Koło Związku Młodzieży Polskiej oraz Służba Polsce. Siedziba Gminy, do której należy wieś W., odległa jest o 8 km (do miasta — 6 km).

We wsi nie ma kościoła, natomiast siedziba parafii znajduje się we wspomnianym już, odległym od wsi o 6 km mieście powiatowym. Nie ma żadnych sekt. Poza kilkunastu gospodarzami w średnim wieku, którzy uchodzą za „heretyków", reszta to praktykujący katolicy. Wiele kobiet, zwłaszcza starszych, należy do organizacji ściśle religijnych, jak np. tzw. różaniec. Nie udało mi się jednak zebrać bardziej precyzyjnych danych z tego odcinka.

Szkoła pracuje już 45 lat, tak że analfabetów jest zaledwie kilkunastu, oczywiście wśród najstarszych mieszkańców wsi, chociaż stwierdzono także wypadki powrotnego analfabetyzmu wśród młodzieży. W ciągu całej historii wsi zaledwie kilkanaście osób ze wsi W. zdobyło średnie wykształcenie, a kilka wyższe. Osoby te po ukończeniu miejscowej szkoły uczęszczały do ogólnokształcącego gimnazjum lub seminarium nauczycielskiego, takie bowiem zakłady były w mieście powiatowym. W roku szkolnym 1937/38 do szkół średnich uczęszczały z W. 3 osoby. W czasie okupacji kilka osób przerabiało konspiracyjnie gimnazjum. Obecnie jednak do szkół średnich, przeważnie zawodowych, uczęszcza 50 osób! Oto błogosławiony owoc kilkuletniego funkcjonowania ludowego ustroju. I tak z 15 dzieci, które w r. szk. 1947/48 ukończyły naukę w miejscowej szkole podstawowej, 14 przeszło do średnich szkół zawodowych, a mianowicie: 8 do gimnazjum mechaniki rolnej, 4 do gimnazjum włókienniczego i 1 do gimnazjum handlowego.

W latach 1890—1930 kilkadziesiąt osób z W. wyemigrowało do USA i Kanady. Większość z nich wróciła powiększając dotychczasowe lub kupując nowe gospodarstwa. Kilkanaście osób było we Francji. Kilkadziesiąt jeździło na sezonowe roboty rolne „do Prus".

Do Ameryki wyjeżdżali zwykle członkowie rodzin bogatszych podupadających wskutek działów rodzinnych. W tych wypadkach tradycyjna przewaga majątkowa zobowiązywała do nieobniżania poziomu i dlatego jechało się do Ameryki. Biedniejsi nie mogli jechać do Ameryki, bo nie mieli środków i obrotności, głównie pieniędzy na podróż. Ci jechali na roboty rolne „do Prus".

Reszta tych, którzy nie mogli się pomieścić we wsi, ponieważ nie mieli tu co robić, pracowała „na pańskim" jako fornale, dziewki i robotnicy sezonowi (dniówka — 50 groszy). Wśród ludzi tej kategorii fornal uchodził za szczęśliwca. Parę zaledwie osób uzyskało pracę w 2 fabrykach na terenie wymienionego już miasta.

Przedwojenne życie społeczne we wsi było bardzo bujne. Przeważająca większość chłopów brała w latach trzydziestych udział w licznych, nieraz krwawych demonstracjach antyrządowych. Szli masowo przed starostwo powiatowe, żeby sanacyjnemu władcy przedstawić swoje postulaty. Dotyczyły one zwykle obniżki opłat targowych (ważne dla „gospodarzy"), usunięcia nadużyć administracji i policji, zmiany rządu i powrotu Witosa z przymusowego wygnania do Czechosłowacji. Wpływ Witosa i innych piastowych polityków był tutaj bardzo silny (bliskość Tarnowa). Tylko kilku ludowców na terenie wsi nie uznawało Witosa. Były to jednak jednostki raczej chodzące luzem i niezdolne do akcji zorganizowanej.

Jednakże oprócz tych nielicznych, którzy na Witosa patrzyli krytycznie, bo wydawał im się zbyt konserwatywny, byli i tacy, dla których nawet Witos zbyt był „czerwony" i „bolszewicki". Do tej kategorii należał kierownik szkoły, kilku spośród najbogatszych, kilku półinteligentów, nieukończonych gimnazjalistów oraz kilku małorolnych przekupionych przez starostę lub policję. Nie stanowili oni jednak żadnej oficjalnej organizacji.

Starsi gospodarze skupieni w „Piaście" a od 1931 r. w Stronnictwie Ludowym nie prowadzili we wsi systematycznej pracy, ograniczając się do dyskusji i jednorazowych, gwałtownych manifestacji, w których doprawdy bardziej ich uczestnikom było wiadome „przeciw komu" aniżeli „o co". Tradycje systematycznej, „organicznej" pracy wykształtowały się na dwóch odcinkach, które miały się wreszcie zejść: na odcinku gospodarczym i oświatowo-młodzieżowym. W okresie pierwszej wojny światowej powstało we wsi patronackie Kółko Rolnicze, do którego należeli najbogatsi. Przy tym Kółku Rolniczym w pierwszych latach po wojnie powstało Koło Młodzieży zrzeszającej na ogół dzieci owych „rolników". Koło to zajmowało się urządzaniem „przedstawień" i zabaw oraz przystąpiło do budowy domu ludowego. Linia rozwojowa tego koła, które z początku nie deklarowało się politycznie, prowadziła do sanacyjnego Związku Młodzieży Ludowej („Zielone koszule" Polakiewicza, Puziewicza itp."), a później do Związku Młodej Polski. Trzeba jednak przyznać, że głównie za sprawą tego Koła stanął wreszcie dom ludowy w 1932 roku. Jednakże z czasem sytuacja tego Koła stawała się coraz trudniejsza. Na fali nastrojów opozycyjnych wobec reżimu sanacyjnego przyszły do W. „Wici". Było to w roku 1934. Przez pewien czas we wsi istniały dwa Koła Młodzieży. Ale wiciowe koło stale rosło, często kosztem przeciwnika. Kilku wiciarzy odbyło kurs na u. l. u Solarza w pobliskiej Gaci. W rezultacie działalności wiciarzy powstała we wsi spółdzielnia spożywców.

W czasie hitlerowskiej okupacji wiciarze i eselowcy znaleźli się w Batalionach Chłopskich i Straży Chłopskiej, natomiast ci (nieliczni), którzy natchnienie czerpali z tradycji Kółka Rolniczego i „zielonych koszul" weszli do Związku Walki Zbrojnej. Pod koniec wojny całość znalazła się w Armii Krajowej z wyjątkiem Straży Chłopskiej.

Po wojnie ludowcy wznowili SL i „Wici". Rychło z SL zrobiło się PSL. Natomiast linia „zielonych koszul" urwała się. Wystąpiła nowa siła polityczna w postaci kilku członków PPR, których zresztą było za mało, by zawiązać koło.

Kryzys PSL i „Wici" odbił się oczywiście dotkliwie na życiu społecznym W., ponieważ praktycznie całość życia wsi opanowana była przez PSL-owców. Szeregi PSL gwałtownie stopniały. Powstało koło SL złożone zresztą na ogół z b. peeselowców. Obok podupadłego koła wiciowego pojawiło się b. słabe liczebnie Koło ZWM. Wreszcie po wrocławskim Kongresie Jedności Młodzieży utworzono Koło Związku Młodzieży Polskiej. Koło to jednak nie może ruszyć z miejsca.

Tymczasem punkt ciężkości życia społecznego przeniósł się do... Straży Pożarnej. Tutaj skupiło się kilkadziesiąt jednostek, które postanowiły wydobyć wieś z zastoju i odrętwienia i pchnąć ją na nowe tory. Ludzie ci zdołali zaagitować dla swych planów swój biedniacki koniec wsi, środowisko b. fornali i robotników. Pod przewodem bezpartyjnego szewca, który przed wojną był w „Wiciach", ludzie ci przystąpili do ofensywy na zebraniu gromadzkim. W obawie przed konserwatystami, grupującymi się głównie w przeciwległym końcu wsi, strażacy zmobilizowali własne żony i w ten sposób przeważyli szalę.

Chcą oni zrobić we wsi następujące rzeczy: dokończyć budowy szosy przez całą wieś, obok szosy położyć chodnik, rozbudować budynek szkolny, wybudować spółdzielczą łaźnię, oczywiście „Dom Strażaka", oraz doprowadzić do wsi elektryczność!

Robota została natychmiast rozpoczęta. Do tej pory położono już kilkaset metrów chodnika, opracowano szczegółowy plan rozbudowy szkoły, opracowano kosztorys elektryfikacji, urządzono naprawdę pięknie park strażacki a w nim basen. Na jednej ścianie basenu umieszczono dużą kamienną tarczę zegara. Zegar wskazuje 10 min. po godz. 6. Kiedy zapytałem, co oznacza ta godzina, wyjaśniono: „Ten zegar pokazuje, ile zostało zrobione i ile jest jeszcze do zrobienia. Kiedy mała wskazówka znajdzie się znowu na godzinie szóstej, będzie to znaczyć, że praca naszego pokolenia została wykonana. Obecnie jest dopiero 10 m po godzinie 6. I ten widok stale nam przypomina o naszych obowiązkach". Jeden z tych „fanatyków" (za takich uchodzą wśród konserwatywnej i zacofanej części mieszkańców wsi) wyrażał mi w prostych, zwyczajnych słowach swój entuzjazm dla pracy społecznej i wolę budownictwa. Małorolny chłop dorabiający w fabryce. Po pracy w fabryce, do której chodzi codziennie dobrych kilka kilometrów, bierze narzędzia i idzie do swojego ukochanego parku strażackiego. Cieszy się jego widokiem i stara się, by wyglądał jeszcze porządniej i piękniej. Mówi że bez społecznej roboty trudno mu żyć, a przecież tyle jest jeszcze do zrobienia. I pokazuje na zegar...

Tego samego dnia wieczorem poszedłem na zebranie Koła ZMP, gdzie miałem wygłosić pogadankę. Niestety — na stu (z górą) członków Koła na zebranie przyszło pięciu czy sześciu. Nawet zarząd nie przybył w komplecie. Odłożyliśmy więc zebranie do następnego dnia (nawiasem zaznaczam że drugiego dnia przyszło około 30 osób i zebranie się odbyło). Poszedłem więc na zebranie Koła Związku Samopomocy Chłopskiej, które równocześnie się odbywało. Tam między innymi dowiedziałem się, że Zarząd Koła zrezygnował z traktoru przydzielonego mu przez Zarząd Powiatowy. Uczestnicy zebrania jednomyślnie zatwierdzili ową decyzję. Byli wśród nich członkowie SL, PSL, był nawet jeden z miejscowych PPR-owców.

Oto jest naszkicowany pokrótce obraz jednej wsi w woj. rzeszowskim. Garść danych rzeczowych i historycznych. To wystarczy, by przystąpić do tematu zasadniczego: czy na tej wsi istnieje walka klas, na czym ona polega oraz w jakich występuje postaciach i formach. Twierdząca odpowiedź na pierwsze z tych pytań daje się bez trudu odczytać z przytoczonego powyżej, z konieczności fragmentarycznego materiału. Ale następne pytania wymagają szczegółowej, głębszej analizy, która by ujawniła mechanizm tej walki, jej sprężyny i formy. Tymi właśnie sprawami zajmiemy się w dalszym ciągu. W toku analizy okaże się koniecznym przytoczenie nowych szczegółów, które na nakreślonym tutaj tle staną się zrozumiałe.

(C. d. n.)

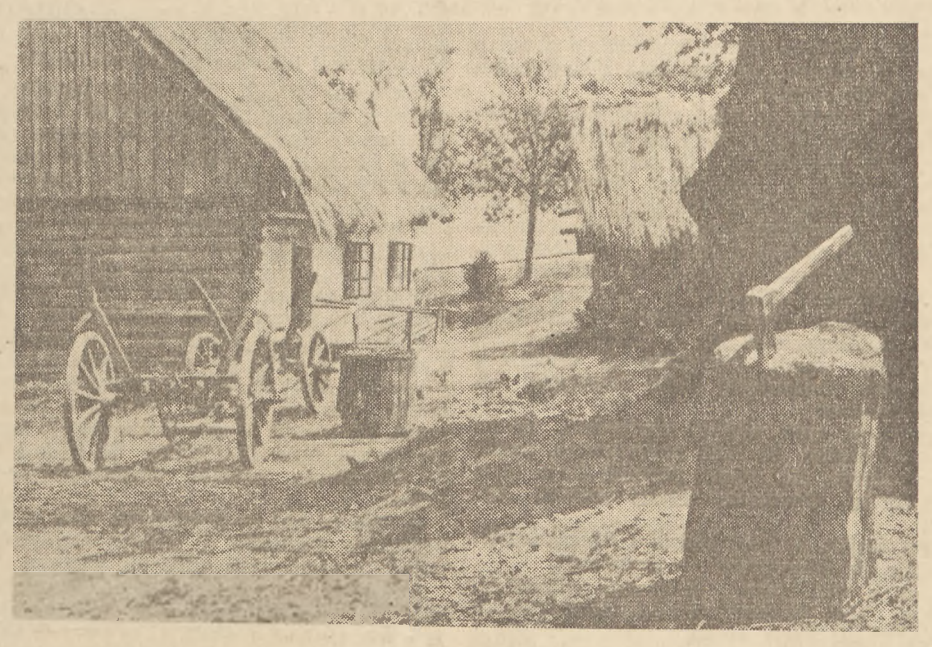

Fot. J. Chluski

Wiesław Jażdżyński

Notatki o „martwych duszach" na prowincji

Jestem wyrodnym synem prowincjonalnego miasta. Wyrażają się tam dziś o mnie na ogół źle. Piszę słowo „wyrodnym" z głębokim żalem, ponieważ jeszcze dwa lata temu zażywałem wcale dobrej sławy.

W kręgu sąsiadów z kamienicy, gdzie mieszkałem za szkolnych lat, cieszyłem się przed wojną niewątpliwym uznaniem. Kilku naczelników rozmaitych urzędów, doktór, właściciel dużego składu materiałów aptecznych i farb oraz emeryci zgadzali się, że już w gimnazjum zapowiadałem się nieźle. Fakt, że na krótko przed wojną zdobyłem nagrodę pieniężną za najlepszą wypowiedź o roli Polski Mocarstwowej w świecie, był przynajmniej w naszej kamienicy głośny i zapewnił mi sławę aż do powojennych lat. Wiedziano poza tym, że w czasie okupacji służyłem w Armii Krajowej, nie zostałem ani kapitanem rezerwy, ani też starostą, nie byłem także odznaczony orderem.

Dzięki tym zasługom zakwalifikowano mnie w sąsiedzkim kręgu do **czwartej Rzeczpospolitej**, która zakwitnie po następnej wojnie, jako czystego politycznie obywatela z prawem do dobrego stanowiska.

Jednak od czasu, kiedy w farnym kościele sąsiedniego miasta nazwał mnie ksiądz kanonik publicznie bezbożnikiem, straciłem dobrą posadę w czwartej Rzeczpospolitej. Poszło o to, że święcenie pól nazwałem w którymś z artykułów — magicznym obrzędem i proponowałem raczej nawozy i maszyny. Cóż, kiedy uwierzono księdzu kanonikowi a nie mnie, i oto jestem wyrodnym synem zacnego miasta. Co gorsza grozi mi już nie długo widmo bezrobocia, bo wojna — jak słychać — tuż, tuż.

Ale ja kocham swoje rodzinne miasto i choć mi nikt tam zapewne nie postawi pomnika, piszę o nim tak jak się pisze o raju utraconym, jak Mickiewicz z Paryża o Litwie, Słuchajcie!

OJCOWIE I...

Przypadkowo zabłąkany w Kielcach podróżny popełni błąd nie do darowania, jeżeli z miejsca zapyta obywatela miasta co słychać. Dowie się tylko tyle, że nic nie słychać, ponieważ po ostatniej mowie min. Minca wszyscy mówią sobie na ucho.

Aby wiedzieć prawdę o Polsce i świecie trzeba wysilić całą zręczność i dostać się w zamknięty krąg miejscowej opinii społecznej. Kto ją robi? W moim rodzinnym mieście: około 80 lekarzy, tyluż adwokatów i rejentów, eks ziemianie, którzy byli na tyle przezorni, że jeszcze przed wojną postawili sobie w mieście rodzinne domy, eks oficerowie, właściciele kamienic, eks-udziałowcy w fabrykach przemysłu miasta i okolicy, wreszcie sporą część obecnie czynnych urzędników. Dodać trzeba jeszcze nauczycieli średnich i podstawowych szkół (około 300, nie licząc samego kuratorium). Ta potężna grupa społeczna wspierana jest przez właścicieli sklepów, warsztatów mechanicznych, kupców i bogatszych rzemieślników. 50 tysięczne miasto liczy ich blisko 3.000. Nie mało, co?

Co do mnie dostałem się do tej grupy społecznej na zasadzie odpowiedniego urodzenia, ale ostatecznie nie każdemu tak się zdarza. Przybywający z zewnątrz musi jednak użyć podstępu, aby się tam dostać. Proponuję mu wieczór w jedynej kawiarni, gdzie zbiera się inteligencja. Nawiasem dodaję, że kawiarnia ta, podobnie jak wszystkie inne ważniejsze obiekty miasta, zawędrowała do literatury narodowej. Gimnazjum uwiecznił Zeromski w „Syzyfowych pracach" i gen. Sławoj Składkowski jako były wychowanek, na rynku obozowali legioniści na krótko przed marszem „Szlakiem kadrówki", w innym znowu miejscu stanął namiot Kościuszki, pod katedrą spoczywa Bartosz Głowacki, a w katedrze to już sam biskup wzywał wiernych, aby dobrowolnie wyjeżdżali na roboty do Niemiec. Otóż kawiarnię wsławił także nie byle kto, bo Zygmunt Nowakowski słynną „Gałązką rozmarynu".

Zawarcie znajomości z przedstawicielami miejscowej opinii społecznej jest trudne, niemniej niż znalezienie wolnego stolika. Niekiedy jednak udaje się. Trzeba wmówić czytelnikowi „Tygodnika Powszechnego", że się go pamięta z pobytu u Potockich, albo z jakiego obywatelskiego zjazdu, albo też powołać się na ojców, kolegów z wojny 20-go roku. Następnie można referować wiadomości, otrzymane od pewnego pana, który przyjechał wczoraj z Anglii i jutro wraca. Broń Boże — powoływać się na prasę krajową! Przy tak postawionej sprawie możemy być zaproszeni na rodzinny wieczór, w kółku zaufanych.

Wyblakła fotografia w złoconych ramach wisząca nad biurkiem przedstawia pana domu. Młody człowiek w austriackim mundurze, pierś dumnie do przodu wypięta, a na niej komplet orderów: jakiś złoty medal z popiersiem Franciszka Józefa i order papieski — „Pro aeclesia pontifice". Pod obrazem napis: w służbie narodu. Uprzejmy gospodarz objaśnia i inne fotografie, umieszczone w rodzinnym albumie.

— O, tu nasz zjazd... ten pośrodku to Romek Dmowski, obok Maniuś Seyda, siedzi teraz w Londynie... a tu ja. Były czasy, były.

W tym miejscu należy bezwzględnie powiedzieć, że wrócą, choćby przyszło zadać sobie gwałt. Inaczej uprzejmy gospodarz mógłby nie powiedzieć o wojnie i strategii alianckiej.

Pamiętam niejedną taką uroczystą chwilę. Drzwi i okna szczelnie zamknięte, radio nastawione na B.B.C. i gospodarz pochylony nad atlasem kreśli czerwonym ołówkiem. Pamiętamy te czasy, prawda?

— Oto nasze przyczółki w Europie! Skandynawia, Hiszpania, Włochy, Grecja i Turcja! Koncentryczne uderzenie zyska większe szanse, jeżeli **oni** rozlezą się po całych Niemczech i Francji. 100.000 samolotów w akcji, kontrrewolucja w Europie, chłopskie powstanie w Polsce! Pan rozumie?

Czytelniku naszej prasy, członku partii politycznej, myślący i pracujący nad odbudową i utrwaleniem pokoju, zechciej zrozumieć, że nie ma lepiej poinformowanych ludzi niż ci, do których dostałeś się via sławna w Kielcach kawiarnia.

To do nich przychodzą listy zza granicy (czytaj między wierszami), do nich przyjeżdżają ludzie z Anglii, którzy wiedzą, rozumiecie — wszystko wiedzą. Na maleńkich karteczkach mają zapisane przyszłe losy świata.

Kto w Polsce ma lepsze od nich kontakty z narodem, z miastem i ze wsią? Bo jeżeli, proszę was, do pana doktora od 20 lat nosi mleko, masło, serki i jaja ta sama kobieta z podmiejskiej wsi, to kontakt z ludem jest czy go nie ma? Albo jeżeli od kilkunastu lat pilnuje z takiej samej wsi chłop — willi pana naczelnika na uroczym letnisku pod miastem? Wystarczy w każdym razie aby przepowiadać kontrrewolucję.

Rozprowadzanie zdrowej opinii społecznej odbywa się bardzo prosto. Po tej samej drodze, którą przychodzą wiadomości ze wsi, odpływają także wiadomości na wieś. Chociaż pewno, że na chłopów oddziaływuje się także wykorzystując instytucję wtorkowych i piątkowych jarmarków. Czynią to już niezrównane w języku panie domów. Zaczyna się od kłótni o cenę masła, kończy zrzuceniem winy na rząd i dodaje z tajemniczym uśmiechem:

— to już nie długo moja gosposiu, bo właśnie był wczoraj u mojego męża jeden pan, do którego przyjechał zza granicy itd....

Kontakt z szeroką opinią społeczną posiadają również księża, nader licznie w moim rodzinnym mieście reprezentowani. Z parafii wiejskich, ze schludnych plebanii nadchodzą bez przerwy wiadomości. Prasa katolicka wykorzystuje jedynie znikomą ich część, jak np. doniesienia o masowym zapotrzebowaniu na żywoty świętych i królów (patrz „Tygodnik Powszechny"). Reszta pozostaje publiczną tajemnicą, podobnie jak i spowiedź święta, o której nikt przecież nie wie, że pełni funkcję urzędu statystycznego, rejestrującego „niewiernych", to jest członków partii politycznych.

Każda szanująca się rodzina ma albo księdza w rodzie albo dochodzącego na niedziele i święta. Na kolacjach, przy winie uzgadnia się otrzymane informacje (a cóż to za radość, jeżeli z kilku źródeł są te same doniesienia) i puszcza w obieg, na zasadzie zaufania osobistego.

Kobieta wiejska wraca wprawdzie z pustą bańką po mleku, ale ma zato głowę pełną niezwykłych nowin.

Spływa nowina na wieś, spływa nowina wewnątrz miasta, gdzie czeka na nią codziennie blisko 3000 sklepikarzy i drobnych przedsiębiorców wraz z rodzinami. Prowadzą oni ciężki\zaiste żywot (ach ten Minc, ten Minc)... Obarczeni podatkami, pilnowani przez Komisję Specjalną walczą o klienta ze spółdzielniami, Państwowym Domem Towarowym, z „Czytelnikiem", „Wiedzą" i „Książką". Na nich też spadł trudny obowiązek urabiania dołów społecznych miasta — robotników, rzemieślniczej biedy, nierzadko i młodzieży chłopskiej, zajmującej liche stancyjki na przedmieściach.

Trzeba na tym miejscu stwierdzić, że na ogół jest ciężko, bo rząd przeszkadza, partie przeszkadzają, ale robota chwalić Boga idzie i wyniki są. Chociażby słynny pogrom Żydów.

„Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita". Jak się domyślamy — **„czwarta".**

Jeżeli o tym piszę, to przede wszystkim dlatego, aby wykazać, że do oddziaływania na wszystkie klasy społeczne mego miasta i okolicy, nie są tak znowu koniecznie potrzebne partie polityczne, czy w ogóle jakiś zorganizowany ruch w instytucje, z wywieszką na drzwiach. Stary schemat: eks ziemianin, eks fabrykant, kamienicznik, drobny przedsiębiorca i ksiądz — wytrzymuje nadal próbę czasu i działa bardzo sprawnie.

Zechciejcie tylko spojrzeć na „przyszłość narodu" — młodzież mego rodzinnego miasta.

...DZIECI

Był w Kielcach zwyczaj stary, pamiętam go jeszcze sprzed wojny, że żegnając rok rocznie maturzystów mawiał ksiądz prefekt mniej więcej tak: Kochajcie Boga i Ojczyznę i nie zapominajcie być endekami.

Młodzież ma pamięć dobrą, nie zapomniała. Oczywiście zdarzały się wyjątki. Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę 600 Akademików z Klerykowa, to nie wiem, czy znalazło by się ze 100 zapominalskich. Zresztą to chłopcy minorum gentium, z niższych urzędników, a może nawet robotników, a więc nie z tych, którym tę pracę dedykuję. Bene nati kochają Boga i Ojczyznę, i są... katolikami. Nie słyszałem jednak, żeby ktoś miał do nich pretensję o zmianę nazwy.

Więc cóż ci akademicy, z których najmniej 3/4 pisze regularnie co miesiąc do domów: „kochane pieniądze przyszlijcie rodzice"?

Założyli najpierw stowarzyszenie z myślą o szerzeniu regionalizmu i opiece moralnej nad członkami. Góry Świętokrzyskie blisko, starych zamków, pałaców, dworów i kościołów w kraju nie brak, tu i ówdzie chodzą chłopi w sukmanach i odprawiają różne barwne obrzędy — jest więc co oglądać.

Ale jak przyszło co do czego, to nawet i z tak pojętego regionalizmu nic nie wyszło. Były wprawdzie dwa obozy wypoczynkowe, sfinansowane przez Wojewódzki Komitet Opieki Społecznej, który miał w tym samym czasie na głowie około 300.000 ludzi bezdomnych z terenów przyczółkowych. Te obozy miały zbliżyć akademików z terenem. Skończyło się jednak na poznaniu całego szeregu knajp w Skarżysku, Wierzbniku, Iłży, czy Sandomierzu.

Pamiętacie obrazek, zdaje się Andriollego, przedstawiający złotą młodzież szlachecką z pierwszej połowy XIX wieku? Wypełniony pijaną młodzieżą pojazd przeciska się przez wąską bramę? Tu było prawie to samo.

Moje rodzinne miasto bardzo kocha swoją młodzież, ale nie bez „ale". Na wieść o nadużywaniu alkoholu przez „przyszłość narodu" zawrzało. Był nowy temat w rozmowach „de publicis" (przecież moja pani, gdyby nie ta wódka, to mogło by w ogóle nie dojść do tej demokracji) i był nowy temat do kazań kościelnych (kto pije ten jest zwierzę i od małpy pochodzi; bogobojni kielczanie wolą jednak pochodzić od Boga). A i akademicy mieli z tego powodu masę roboty. Jedni mianowicie zwalczali złą o sobie opinię, drudzy nakłaniali miejscowy Wydział Opieki Społecznej, żeby (naprawdę już ostatni raz) nie kwestionował rachunków za wódkę.

Myślę, że częściowe odprężenie w sytuacji nastąpiło w czasie, kiedy stowarzyszenie postanowiło rozruszać senne miasto. Kilka udanych finansowo zabaw tanecznych, dwie rewie w stylu łódzkiej „Osy" i jedno misterium religijne w czasie uroczystych rekolekcji przywróciły akademikom część utraconej sławy, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę ich całkowitą nieobecność na wszelkich uroczystościach państwowych.

Resztę sławy uzyskano dzięki wydarzeniu, które stanowczo należy zapisać w złotą księgę dziejów akademika polskiego.

Otóż na wiosnę 1947 roku obejmowało Stowarzyszenie już wszystką młodzież wyższych uczelni z terenu województwa, a więc blisko 5.000 ludzi, no i postanowiło nawet dla siebie niespodziewanie ujawnić publicznie „postawę społeczną". Był to okres dla młodzieży niebezpieczny, kiedy na zarządzie mieli coś do powiedzenia studenci struci na amen Marksem. Mówiło się wtedy o potrzebie zasiadania na Wojewódzkiej Radzie Narodowej, a w każdym razie o redagowaniu własnego miesięcznika.

Z konsekwentnej wierności dla zasad liberalizmu poprosili akademicy przedstawicieli tyg. „Wieś" i „Tygodnika Powszechnego", aby wraz z delegatami zechcieli wysłuchać przemówienia ideologicznego i zabrać głos w dyskusji. Godzi się chyba dodać, że przemówienie przejrzał któryś z księży prefektów.

Prelegent mówił, że wszycy jesteśmy wychowani na tradycji Żółkiewskich i Chodkiewiczów, że ideałem Polaka był zawsze szlachcic - idealista i katolik, i chociaż ten ideał zmieniał się w czasie, to jednak pozostał ten sam, ponieważ starego hasła Bóg i Ojczyzna nic nie zastąpi (patrzaj Dmowski na nas z nieba!). Przedstawiciel „Tygodnika Powszechnego" poczuł się od razu u siebie, więc też spokojnie zasnął, a delegaci „Wsi" przebili w dyskusji program pisma radykalnego.

Koniec końcem akademicy nie zasiadają w Radzie Wojewódzkiej i nie wydają także miesięcznika. Aha! Byłbym zapomniał. Stowarzyszenia też już nie ma. Poszło o niewielką rzecz. Po prostu Walne Zebranie nie zgodziło się na wpisanie do statutu, że będzie dążyć do utrwalenia ustroju demokratycznego w Polsce.

— Nie to nie — powiedział ktoś w Wojewódzkim Urzędzie i polecił zamknąć, na szczęście tylko akta całej tej sprawy.

A szkoda, bo miastu, a przynajmniej tym, którym stawiam pomnik w tych notatkach, żyło się z akademikami nienajgorzej. Cóż się z nimi stało? Wrócili tam skąd przyszli. Na przykatedralnym placu, w księżym domu wisi na drzwiach skromna, bezpretensjonalna tabliczka z napisem: **caritas academica.** Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że napis na tabliczce zastępuje słowa, które zwykł wypowiadać do maturzystów nieżyjący od kilku lat ksiądz prefekt: „Kochajcie Boga i Ojczyznę i nie zapominajcie być endekami".

Dziś znacznie posmutniało moje miasto, odkąd porzucili akademicy dawne życie. Zresztą leci czas, trzeba przecież dojrzewać. I dojrzewa się. Niektórzy z bohaterów mają już zupełnie poważne i stałe pasje, charakteryzujące ludzi dojrzałych. Któryś tam ze studentów Politechniki kocha w sposób stały maszyny. Wygląda to tak, że sprzedaje np. rower i kupuje motocykl, później samochód, z kolei raz jeszcze motocykl i w ten sposób sobie żyje z miłości do maszyn. A inny znowu kocha handel i zakłada w Krakowie sklep z artykułami technicznymi i chociaż wie, że go zlikwiduje Komisja Specjalna, nie może się powstrzymać od uprawiania swego życiowego zawodu.

Zapewne na tej podstawie opinia społeczna mego rodzinnego miasta oczyściła już dość dawno „kwiat narodu" z zarzutu materializmu, który groził akademikom, szczególnie w okresie słynnej konferencji iedologicznej. Ojcowie mają ostatecznie dużo satysfakcji, bo młodzież do niczego nie należy i za nic nie odpowiada, czyli jest **idealistyczna.** I czeka wraz z ojcami na lepsze czasy. Fakt ten wspominam ze smutkiem, ponieważ odebrano mi miejsce w tych dobrych czasach. Może je zajął akademik - sklepikarz?

* * *

Młodzież gimnazjalna nie zaznaczyła się specjalnie w historii miasta. Jest to zapewne nieco dziwne i trochę może smutne, ale doprawdy nigdy nie słyszałem, aby mówiono o blisko 2000 młodych ludzi z 6 gimnazjów i liceów. Chociaż nie! Przesadzam! Na ostatnim zjeździe Dyrektorów stwierdzono, że na odcinku szkolnictwa średniego ogólnokształcącego wszystko w porządku. Nauczycielskie ogniska metodyczne pracują sprawnie, poziom wykształcenia podnosi się, nauka uspołecznia, młodzież żyje organizacyjnie, wszystkiego jest więcej niż przed wojną itp.

Ale poza instytucją dorocznych zjazdów dyrektorskich nigdzie nie słyszałem, żeby to mogła być prawda. Bo choćby woźny gimnazjum, który mówił mi, że młodzież owszem — rusza się, w piłkę kopie, do knajp zagląda, ale do świetlicy bardzo rzadko; na lekki teatrzyk chodzi, tylko nie na Szekspira, którego wystawia Wojewódzki Teatr bądź co bądź raz na rok. Demokratyzacja odbywa się również. Jeden z profesorów który nazywał się przed wojnę po chłopsku, zmienił nazwisko i teraz nazywa się bardzo ładnie, po szlachecku.

Woźnemu zawsze trzeba wierzyć bo wie to, czego nie wie zazwyczaj Dyrektor zakładu, a więc wie bardzo dużo.

W moim kochanym mieście wiedza o literaturze kończy się, jak za przedwojennych czasów, na Żeromskim, a kto ciekaw co dalej, niech sobie czyta sam. Rezultaty ciekawości zaspokajanej samotnie bywają nieraz takie, że uznaje się Brandysa za wybitnego prozaika szwedzkiego i nie uznaje żadnych różnic miedzy Hertzem a Hercenem (autentyczne!).

Tak czy inaczej nie zaawansowała młodzież gimnazjalna do historii tej części miasta, którą z takim rozrzewnieniem wspominam. Dlatego proponuję zmianę tematu. Obejrzyjmy sobie miasto.

WOJNA I POKÓJ

Kielce to właściwie dwa wrogie sobie miasta, które niedobry los skazał na wspólne pożycie. Obydwa te miasta, jak to często w stosunkach sąsiedzkich bywa — prowadzą ze sobą zawziętą walkę. Partnerzy rozgrywki są nam już częściowo znani. Właśnie ci, którzy pozbawili mnie posady w „czwartej" Rzplitej, o nich w dalszym ciągu będzie mowa. Ich przeciwnicy to współtwórcy młodego Państwa Ludowego, zabiegający o odbudowę i pokój.

Jak toczy się wojna? Na noże i pałki już nie. Od pamiętnego pogromu Żydów schowano i broń palną, choć trudno zaprzeczyć, że od czasu od czasu pada któryś z działaczy demokratycznych. Daleki jestem od posądzeń. A może to gromy z jasnego nieba?

Twierdzę, że zwolennicy jeszcze jednej Polski prowadzą zupełnie bezkrwawą walkę. Sposób? choćby taki:

Jeżeli w mieście urządza się zbiórkę na caritas academica lub harcerstwo — sypią się pieniądze jak z rogu obfitości. Ale przy zbiórce na pomoc dla milicjantów pieniędzy nagle zaczyna brakować, a czasy robią się w ciągu tygodnia tak ciężkie, że ani pięciu złotych z kieszeni wydostać, bo nie ma.

Na pogrzebie zamordowanego działacza demokratycznego darmo by szukać klerykowskiej, starej inteligencji, albo wychowanków biskupiego gimnazjum, czy delikatnych panienek z zakładu Sióstr Nazaretanek.

Ale wystarczy, żeby umarł ktoś, komu napiszą na klepsydrze: „obywatel miasta Kielc", „b. obywatel ziemski" — a już maszerują harcerze, biją w bębny, dmą w fanfary, niosą wieńce panny z gimnazjum Sióstr Nazaretanek, dumne, uroczyste, wniebowzięte. Za nimi poczty sztandarowe, szkolne, harcerskie, Czerwonego Krzyża, Straży Pożarnej, czasem cechów rzemieślniczych i chmary obywateli. Perfumy, szarfy, białe rękawiczki, nierzadko sztuczkowe spodnie, przemówienia o wysokich diapazonach moralnych, harcie ducha, piastowskiej krzepie itp.

Walka na pogrzeby prowadzona jest już od 1945 roku ze zmiennym szczęściem. Podobnie walka na defilady. Chodzi o to, aby zbywać milczeniem maszerujące oddziały milicji, nie mówiąc już o oddziałach sformowanych z członków partii politycznych. Należy natomiast obsypywać kwiatami harcerzy, gimnazjalne kółka Ligi Morskiej, Czerwonego Krzyża, czy wreszcie grona pedagogiczne.

Zasadę społecznego wyróżniania swoich można stosować b. wszechstronnie. Gdy w parku miejskim odbywa się konkurs orkiestr młodzieżowych, to jasne jest, że braw nie dostanie zespół Służby Polsce za marsz I-go Korpusu, ale zespół prywatnego gimnazjum za marsza Sokołów. Na zawodach sportowych należy oczywiście dopingować drużynę z fabryki marmelady „Społem" a nie klub milicyjny.

I tak to w znojnej pracy upływają lata.

* * *

Dalszy ciąg notatek o moim mieście odkładam z żalem na następny raz, ponieważ obowiązki odwołują mnie do innych zajęć. Po prostu wziąłem nieopatrznie posadę w obecnej Polsce. Ale do notatek tych wrócę. Będzie to zapewne pierwej niż spora część obywateli „civitatis Kielcensis" przekona się, że przy zachowaniu obecnej postawy „ideologicznej" niczego dobrego się nie doigra.

Ilustr. S. Cieloch

Andrzej Braun

SPRAWA ŻELBETA *)

NIE minęło jeszcze piętnaście minut od chwili kiedy trzy furmanki zatłoczone partyzantami zginęły w kłębach gliniastego pyłu, a już na drodze obok kościoła, ukazał się Świerk z rannym Żelbetem na plecach.

Jest dobrze po południu; godzina może szósta. Równina cała, przecięta smugą zadrzewionej drogi, wygląda jak wielka księga, zapisana zielonym żytem, sama droga przypomina do złudzenia drabinę, położoną na ziemi, gdzie pasy cienia, padającego od drzew, tworzą szereg szczebli. Cienie przeskakują przez biegnącego Świerka płaszcząc się z powrotem na ziemi, wsiąkają w kurz. Świerk biegnie bez przerwy. Przez ramiona, na skos przerzucone ma wielkie cielsko Żelbeta, na piersi trzyma zaciśniętą rękę rannego, który bezwładnymi ramionami oplata mu szyję i trochę dusi. Długie nogi zwisają z pleców Świerka do samej ziemi. Wokoło pusto.

Żelbet był masywnym chłopem, ważył coś około siedemdziesiątki, a w tej chwili bezwład czyni go jeszcze cięższym. Zdawaćby się mogło, że w miejsce krwi napełnione ma ciało ołowiem, ale też Niemcy wypuścili mu jej masę. Przesiąkły spodnie, onuce i juchtowe saperki; lewa noga tworzy jeden wielki skrzep, jedną rudą skorupę. Na plecach, tuż pod łopatką, bluzę ozdabia ciemna plama w kształcie gwiazdy, ze strumykami wyciekającymi na wszystkie strony. Lewe płuco ma przestrzelone na wylot. Ciągle jeszcze stąd płynie krew. Obydwaj mają przed oczyma potworną kałużę, którą świeciło miejsce, gdzie padł Żelbet, naprzeciwko plebanii, ohydną skożuszałą kurzem, buchającą mdlącym zapachem, jak wielkie bagno ludzkich resztek. Odwracają głowy od tego wspomnienia. Mimo stargania nerwów do ostatnich granic nie przestali być ludźmi. Pewne obrazy oblewają ich potem, pobudzają do mdłości, no po prostu biją w łeb. Całe szczęście, że Świerk zabrał go na czas, gdyż pozostawiony sam sobie mógłby skończyć się bardzo szybko. Nic nie potęguje tak przerażenia, jak widok własnej krwi w większej ilości.

Właściwie na dobrą sprawę tylko on jeden zdołałby go udźwignąć. Byli wówczas razem, czołgali się tuż obok siebie, kiedy opodal pękł granat. Żelbet bliższy krytycznego miejsca przyjął na siebie cały impet odłamków; Świerk wyszedł prawie bez szwanku. Cóż znaczyły drobne skaleczenia i ukłucia wobec rozcharatanej granatem nogi Żelbeta i dziury w płucach. Dogodziło mu porządnie. Świerk myślał przez chwilę, że pozostanie jedynie uchylić czapki, przeżegnać się i powlec trupa za nogi, do najbliższego rowu. Jednakże pomylił się, Żelbet był twardszy niż przypuszczano. Płakał trochę ogłuszony bólem, ale też zaraz począł się gramolić w tej kałuży która z każdą chwilą rosła.

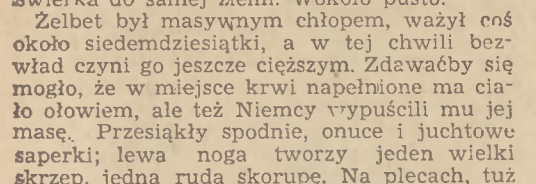

Serie karabinowe trzeszczały w świetle słonecznym jak wyładowania elektryczne. Granaty niemieckie, Sidole, łomotały zrzadka. W zabudowaniach plebanii runęło z hałasem jakieś drewniane przepierzenie czy szopa.

W pełni dnia zamęt bitwy objawiał się jedynie odgłosem, zaczajony w rowach i opłotkach, niewidzialny w przelotnym spojrzeniu. Świerk sygnalizował towarzyszom, że wynosie rannego do podwód. Skrzepy, na nodze powstrzymywały chwilowo upływ krwi, Żelbet był przytomny.

Dźwignął go szybko na plecy, jakoś poszło. Zgarnął się w kupę śpiesząc kołyszącym krokiem pod pierwsze drzewa przydrożne aby uniknąć pocisków, pogwizdujących stale w powietrzu.

Czekało go rozczarowanie. U bramy plebanii nie znalazł już furmanek. Widocznie odjechały na skutek jakichś innych rozkazów nadeszłych w międzyczasie. Nie pozostawało chwili do namysłu. Ruszył bez wahania drogą prosto w pola. Musiał dobiec w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można by opatrzeć Żelbetowi chociaż z grubsza nogę i pierś. Zdyszał się pożądnie; drzewa, porastające drogę, kołują w mózgu, cień i światło zachodu naprzemian biją po oczach, jakby ktoś rozwijał z bliska arkusz jaskrawej i paslastej tapety. Świerk biegnie długim kłusem, ciężko zarywając się butami w kurz, a za każdym krokiem wznosząc fontanny drzemiącego w cieple pyłu. Robi się szaro. Kurz wyprzedzał często biegnącego, zanurzając go w obłoki niewidzialności, skrzypiącej w zębach, osiadającej na spoconej skórze twarzy warstwą, podobną do sadzy. Takim tumanem, unoszącym się nad polami, można zwrócić uwagę na siebie. Ale Świerk nie umie zwolnić. Nie ma sił, aby posuwać się ostrożniej. Ciężar na plecach przybija go do ziemi, jak olbrzymia pięść, uciskająca kark. Nie jest cherlakiem, należał do najsilniejszych w całym oddziale. Nikt poza nim nie mógłby udźwignąć Żelbeta ,ani biedz z nim kilometrów po nierównej, polnej drodze. Toteż czuł tylko głęboką satysfakcję, że udało mu się wynieść kolegę z pod samego progu śmierci. Nie zastanawia się, co będzie dalej. Trzeba przebyć te kilka kilometrów, dzielące Barkowice od Żabinki i zaraz za Żabinką zaczną się lasy. Tam znajda ocalenie.

Wokoło plebanii toczy się jeszcze bitwa. Głośne strzały w milczącym powietrzu dolatują raz po raz, chociaż ludzi nie widać. Zakryty drzewami i plątaniną budynków Swierk nie ogląda się za siebie; wystarcza mu to w zupełności, że przed nim droga jest pusta, gdyż choćby go nawet ścigano, nie mógłby i tak przyśpieszyć kroku. Biegnie ostatnim wysiłkiem. Nie wiele też widzi. Pot kroplisty, który wystąpił na całej twarzy pali, jak roztopiony ołów. Słone strużki ściekają po skroniach, zatrzymują się w oczodołach, gryząc przymrużone powieki, spływają deszczem po brodzie. Na wargach zasycha ślina, zmieszana z kurzem. Przytem ten ranny, który zsuwał się ustawicznie z pleców, jego ręki nie sposób utrzymać w spoconych dłoniach. Co chwila Świerk musi przystawać, aby przegiąwszy się do przodu, zarzucić go sobie głębiej na ramiona. Przy każdym takim podrzucie czuje jakby mu krzyż pękał. Stęka tylko głucho usiłując splunąć, ale z wyschniętych ust nie chce się nic wydostać, aby sprawić najmniejszą ulgę. Serce bije gwałtownym tętnem, niby wielki dzwon, który raz wprawiony w ruch nie da się zatrzymać, choćby całym ciężarem uwieszonego doń ciała. Świerk marzył o spoczynku.

Tymczasem ranny musiał stracić przytomność. Ręce, które dotąd kurczowo zaciskał na jego szyi, teraz rozluźniają się. Tym samym sprawia jeszcze więcej trudu. Bezwładne ciało spada bezustannie i Świerk czuje jego obsuwanie się po oślizgłej od krwi skórze. Mimo męczarni, jaką to sprawia, nerwy ma otępiałe do tego stopnia, że nie reaguje na tysiące podrażnień, wyprowadzających człowieka normalnie z równowagi. Strugi potu spływające w kołnierz, nie przenikają do jego świadomości, włosy, pozlepiane placzą się po czole, zwijając w cudaczne kosmyki. Brud, spłókiwany czyściejszymi strumykami, maże wokoło ust fantastyczne pręgi i wkrótce jego twarz wygląda jak maska pomalowana zalewającą się farbą. Chłodny powiew przedwieczorny świszczy w piersi, a krew pulsuje tak głośno, że Świerk zatraca poczucie otaczającej go ciszy. Szumi coś w skroniach jakby na głowę jego spadały dwa ogromne wodospady. Ziemia kołysze w rytm uderzeń serca, ale nie kroków i dlatego nogi plącza się coraz bardziej. Świerk nie potrafi już wybierać równiejszych odcinków, nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie noga jego stąpnie. Coraz ciężej jest oddychać, choć samo powietrze wdziera się do ust. Nadomiar udręki gardło piecze, jak dwa kawałki cegły. Nogi zatraciwszy poczucie dystansu od ziemi stawiają kroki coraz bardziej sztywno. Wygląda jakby wchodził na wysokie schody, z których w każdej chwili może runąć w tył.

Wszystko dzieje się automatycznie, jak raz rozpędzony mechanizm. Toteż zapada w koleiny, zawadza nogami o trawę, rosnącą rzadkimi kępkami, wykrecając boleśnie buciary na odparzonych nogach.

Tymczasem drzewa, porastające krawędzie drogi zniknęły i Świerk znalazł się w otwartym polu, nieosłonięty niczym, poza mgłą zmęczenia, spoczywającą na źrenicach. Było to dobre pół kilometra od wsi. Droga zakręca tu lekko, wobec czego wypada biedz, w sam ogień zachodzącego słońca. Przed oczyma płonie teraz czerwień, jakby je krew zalała — pola zróżowiały. Cieszy się z tego. Na tle jaskrawej kuli trudniej dostrzec na taką odległość biegnacego pojedyńczo człowieka. Zdaje mu się, że ieszcze za wcześnie na zatrzymanie się choćby chwilowe, dla zlustrowania okolicy i poprawienia ciężaru na plecach. Ciągle są zbyt blisko wsi, dolatują jeszcze pojedyńcze, dopingujące go strzały. Próbuje odezwać się do Żelbeta. Przez długi czas nie ma odpowiedzi. Wreszcie ranny jęknął chrapliwym od gorączki głosem.

— Wytrzymasz jeszcze chwilę? — pyta Świerk.

— Postaram się — charczy tamten. — Ale cholerrrnie boli.

— To nic. Trzymaj się stary. Ja również biegnę już resztką sił.

Zapewniał kilkakrotnie, że będą uratowani, lecz Żelbet nie odzywał się więcej. Wygląda na to, że zapadł spowrotem w omdlenie.

Przynaglony jego stanem, Świerk robi wszystko, co może, ażeby posuwać się szybciej. Krew własna i cudza uczerniła mu już cały drelich na plecach, krzepła w galaretowate sople i kołysząc się chwiejnymi kropelkami na końcach tych skrzepów, raz po raz spadała na ziemię. Centkowany plamkami ślad, natychmiast pokrywa kurz. Panuje zupełna cisza. Strzały we wsi umilkły, oddech biegnącego stał się bardziej urwany i cichszy, a jedynie pozlepiane szmaty trą się z oślizgłym chrzęstem.

Słońce, które dawno powinno zniknąć, jeśliby mierzyć czas ogromem przebytego wysiłku — zatrzymało się jak gdyby nad samą krawędzią widnokręgu i ułożone w miękkim zaklęśnięciu wzgórz, spoczywa bez ruchu. Widocznie potrzeba jego czerwonego blasku jest nieustanna. Przeciwna strona nieba, mogąca mieć coś z zapowiedzi mroku, mało interesuje Świerka. Świat zwęził się dlań. Realnie istnieje tylko to, co jest przed nim. Z tyłu pozostawał lęk i złe przeczucie, z tyłu była możliwość pościgu i wróg.

Barkowice leżą w odległości około trzech kilometrów od Żabinki. W falistym terenie Miechowskiego odległość taka wystarcza, aby obie wsie były nawzajem niewidoczne. Tutaj jeszcze pola wyglądają stosunkowo równo. Dopiero mniej więcej na połowie drogi, przebiegało prostopadle większe zgarbienie, od którego począwszy teren chylił się ku dołowi. Świerk kiedyś przejeżdżał tędy. Pamięta samą Żabinkę w dolinie. Zaraz za skrzyżowaniem dróg, górował nad nią las. Ten las jest celem jego trudów. Istnieje wprawdzie jeszcze jeden lasek, nawet bliżej — ale z przeciwnej strony Barkowic, a więc nie ma wyboru.

Mimo spóźnionej pory ciepło dnia drży jeszcze w powietrzu. Żółte, lessowe gliny, wysuszone, popękały czarną siatką szczelin. Ziemia zaskorupiała po którymś tam deszczu, co nie przeszkadza rdzawej pszenicy podskoczyć do trzydziestu przeszło centymetrów wysokości i zabłysnąć silną, soczystą zielenią. Tylko na drodze glina, rozdarta na suchy pył, pokrywa lotnym kożuchem koleiny i ślady ludzkie, łagodzące ich tortury. Drzewa skończyły się dawno: ledwie, że majaczą z daleka, jak odległy, ciemny parkan. Nic tu już nie zarasta, prócz kępy trawy bramujących jej krawędzie. Jest to trawa suchotnicza, bezbarwna, jakby dopiero co wydostała się z pod wiosennych śniegów. Warstwa pyłu przykrywa ją, niby patyna starości. Zupełna nagość tych pól, aż po bliski horyzont, pozbawiona jakichkolwiek krzewów, sprawia przygnębiające wrażenie. Nie zacierają go barwy, jakie słońce nasącza między zaklęśnięcia miedzy.

Świerk biegnie nie zwalniając kroku. Lekkie ochłodzenie powietrza dało pewną ulgę. Mimo gorączki, myśl jego zaczyna pracować. Zbliżał się do fałdy horyzontu którą od dawna miał na oku. Teraz rozpoznaje już wysoka miedzę, obrywającą się nieznaczną spadzistością. Może ona stanowić pewną osłonę od tej strony, tym bardziej, że porastały ją kępy kolczastych jeżyn. O tym właśnie myślał: tu trzeba będzie spocząć. Teraz dopiero widząc możliwość odpoczynku, zrozumiał, że nie zdołałby pobiedz dalej ani metra. Pijanym krokiem, zboczył z drogi, depcząc zielone zboże i miekką glinę pola. Potykał się kilkakroć, zawadzał nogami o krzaki, ale jest mu wszystko jedno, bo oto wdrapał się na miedzę, już jest za jej osłoną. Nie bacząc na kolce targające drelich z chrzęstem, przyklęka, zsuwa ciało Żelbeta na ziemię, aby zaryć się za chwilę twarzą w trzeszczących badylach.

Leżał tak dość długo. Musiało przejść dobre pół godziny. Wszędzie cisza tak bezwzględna, jakby dostał się do jakiegoś innego świata, gdzie wszystko jest spokojne, bez strachu o przyszłość. Wprost nad nim płonęły trzy gwiazdy białe, jak karbidówki. Noc wilgotna, szafirowa, orzeźwiająca. Od strony Barkowic migocze kilka iskierek. Żabinki nie mógł dostrzec.

Równocześnie czuje, że jest przemoknięty od potu — zęby szczękały mu z zimna. Odgarnął ręką polepione włosy, ścierając jednocześnie cały brud z twarzy, wstrząsnął się.

— Trzeba pomyśleć o rannym — mruknął.

Obok majaczył niewyraźny kształt Żelbeta. Gdy pochylił się nad nim zobaczył otwarte szeroko oczy, wpatrzone w niebo.

— Żelbet — szepcze. — Jak się czujesz? Zrobię ci opatrunek.

— To nic nie pomoże — odpowiada Żelbet.

— Ach głupstwa gadasz. Zaraz się tobą zajmę.

Śpiesznie popuścił pasa i zaczął ściągać sobie przez głowę bluzę wraz z koszulą. Po chwili klęczał już pół nagi. Ziab trząsł nim. Na rzadkich włosach na piersi czerniła się krew, zlepiając je w strąki. Strzepnął drelichem, podłożył rannemu pod nogi, potem zabrał się do niego. Rozerżnąwszy but pruł ostrożnie, nogawicę spodni, uważając, aby nie dotykać rany. Szło dosyć sprawnie, lecz pomimo ciemności widział, że noga jest stracona. Kość strzaskana w kolanie, mięśnie i ścięgna całej stopy poszarpane na strzępy. Początkowo ranny zaczął wyć — Świerk ze strachem rozglądał się dookoła. Dopiero gdy zemdlał praca poszła szybciej. Mimo nagości Świerk zgrzał sie od początku, pot znowu ściekał mu z czoła. Pracował zażarcie, nie wiedząc czy dobrze robi, ale zdawał sobie sprawę, że musi to ukończyć jak najszybciej. I rzeczywiście, po upływie kwadransa opatrunek był gotów. W piersi założył mu tampon z resztki gazy, którą każdy miał w niewielkiej ilości w czasie akcji. To samo z nogą. Gdzie brakło bandaży, poszła w strzępy koszula. W międzyczasie Żelbet odzyskał przytomność. Leżą teraz obok siebie, nabierając sił. Noc zapadła na dobre, jasne tuż po zachodzie gwiazdy, bledną, ale za to jest ich tak wiele. Duże, błyszczały, jak szklanne guziki, mniejsze są jak srebrne zatrzaski, a drobne, starte na kurz zasypały zupełnie niebo. Od strony Krakowa miotła reflektora omiata pracowicie ciemność. Z różnych kierunków dolatywał niecierpliwy psi dyskurs.

—Jesteśmy zbyt blisko Niemców — mówił Świerk. — Trzebaby koniecznie dostać się do lasu. Przypuszczam, że teraz po ciemku pójdzie lepiej.

— Ciekaw jestem — monologował dalej — co tam się dzieje w tej chwili w Barkowicach. Żeśmy w dupę dostali, to prawda, ale i te sk....syny siedzą cicho.

Nasłuchiwał chwilę, ale milczenie było zupełne. Dawno już nie słychać ani strzałów, ani warkotu samochodów. Do pewnego stopnia wzbudza to niepokój, ale nie odbiera im jednak otuchy.

— Najgorsze — mówił Świerk — mamy po za sobą.

Wygrzebuje z kieszeni zwilgotniały od potu tytoń i poczyna go pracowicie rozpalać w fajce. Pykał, pykał, wreszcie, wreszcie idzi dym i staje się w tej chwili największe rozkoszą w życiu. Nawet Żelbet twierdzi; że zmniejsza mu ból.

Potem uznaje, że czas iść dalej. Przygotowano wszystko jak najwygodniej. Swoją parabellę Świerk umieścił na brzuchu, żeby w każdej chwili była gotowa. Tylko ta jedyna broń została im obu. Żelbeta posadził sobie na barkach, podwiązując mu nogę pasem. W ten sposób ranny czuje się dużo lepiej, a on może iść prosto, nie przełamany w krzyżu, jak dotychczas. Dalsza droga wydaje się igraszką. Świerk korzysta ze świeżego przypływu sił i maszeruje ostro chcąc znaleźć się w lesie przed wschodem księżyca. Na szczęście droga prowadzi przez otwarte pola i każde niebezpieczeństwo, pomimo ciemności musiałoby być widoczne z daleka.

Około godziny dziewiątej Świerk zbliżał się do Żabinki. Od pewnego czasu zszedł z drogi. Postanowił obejść wieś od tyłu, gdyż przy drogach wylotowych mogły być wystawione posty. Nie wiedział czy są tu Niemcy, ale okoliczność taka nie była wykluczona i należało brać ją pod uwagę. W każdym razie panuje cisza, w wielu chałupach płoną światła. Orientując się więcej psim węchem, niż wzrokiem i uważając, aby nie wydawać głośniejszego dźwięku, obchodził stopniowo zagrody i sady, z tyłu za parkanami. Raz wpadł w niewidoczny dół od śmieci, to znowu podrapał nogi o kolczaste druty. W pewnej chwili, mijając stodołę, natknął się na jakiegoś człowieka. Sądząc po głosie musiał to być młody parobek, ale ciemność gęsta jak czarna watolina pozwalała raczej posługiwać się dotykiem niż wzrokiem. Piętrowa postać Świerka przeraziła nieznajomego — nie ruszał się z miejsca. Ale Świerk miał mocniejsze nerwy. W dwu skokach jest przy nim z parabellą w garści.

— Ki czort — sapie chłopak.

— Tsss! Ani pary z gęby! — Spojrzał nań groźnie, nie pokazując jednak pistoletu.

— Są tutaj Niemcy?

— Som.

— Dużo?

— A ze śterdziestu.

— Gdzie stoją?

— Kole szkoły ich najwięcej, ale wszędzie som.

— Pod lasem też?

— Pod lasem nie. Ino u kowala jednego.

— Potrafisz poprowadzić tak do lasu, żeby ich nie spotkać?

— Ale.

— No to jazda. Idź i nie oglądaj się.

Ruszyli pewnym krokiem. Nad ząbkowatą krawędzią lasu wznosił się ceglasty księżyc, rozmazany na warstwach chmur. Noc pachnie groszkiem i trochę gnojówką. Od czasu do czasu dolatują odgłosy kroków po drodze bez głośniejszych rozmów. W jednym miejscu trzeba przejść niedaleko czarnego uta — budy, stojącego na łące. Jednocześnie Świerk widzi postać przechadzającego się Niemca, którego matowy chełm upadabniał do okrągłej pałki. Jeszcze kilka metrów i są za kuźnią. Teraz Świerk poprawia sobie rannego na plecach i ruszają szybciej w stronę lasu. Czuć na twarzach chłód idący od niego, drzewa szumią po cichu; zdawało się, że wracają do domu, toteż nie zatrzymali się, aż głęboko w krzakach, gdzie trzeba było schylać głowę od kłujących gałęzi i gdzie chrupki mech chrzęścił pod butami, jak tłuczone szkło. W dobrze osłoniętym miejscu złożyli Żelbeta na ziemi, robiąc chwilę odpoczynku.

Złapany chłopak nie zdradzał chęci odejścia. Kręcił się trochę, pragnął zacząć rozmo-

*) Opowiadanie wyjęte z tomu pt. „Klęska" przygotowywanego do druku.

W OSTATNIM NUMERZE 42 (171) z dnia 17 października 1948 r.:

Jakub Litwin — Klasy, rewolucja a państwo; **Piotr Chmura** — Książka potrzebna; **A. Bołzow** — Stalin o zagadnieniach agrarnych ZSRR: **Marian N. Listowski:** Czytelnictwo na prowincji; **Anna Kamieńska** — Dwie ludowości; **Mikołaj Niekrasow** — Z poematu: Komu na Rusi dobrze; **Dyzma Gałaj i Józef Mozga** — Przedsiębiorcy działacze wsi; **Piotr M. Tretiakow** — Rzut oka na historię Rosji; **Aleksander Hercen** — O Worcellu; **Michał Sałtykow-Szczedrin** — Opowieść o tym jak jeden chłop dwóch generałów nakarmił; Fakty i zdania; komunikaty; 22 ilustracje; 12 stron.

SPROSTOWANIE.

W ostatnim (42) numerze tyg. „Wieś" na skutek przeoczenia zostało pominięte przy artykule „Przedsiębiorcy — działacze wsi" nazwisko jednego z współautorów artykułu JÓZEFA MOZGI. Redakcja na tym miejscu gorąco przeprasza Autora za wynikły błąd.

wę, nie wiedział tylko jak. Wreszcie nabrał odwagi.

— Panowie pewnie z Barkowic? — spytał z głupia frant.

Lecz Świerk osadził z miejsca.

— Co cię to obchodzi.

— Ja wiem... bronił się tamten.

Chłopak zamilkł skonfundowany.

— Gówno wiesz.

Po pewnym czasie Świerk namyślił się i przemówił pojednawczo:

— Jeśli jesteś dobrym Polakiem, chrześcijaninem to mi pomożesz — tu przerywa milcząc chwilę.

— Czy który z tych gospodarzy pod lasem ma konie? — pyta wreszcie.

— Zieliński ma galantego.

— A co to za człowiek? Można mu wierzyć?

— A ino. Stwierdza chłopak z zapałem. — On wszystko zrobi. Jego Antek jest więcy, jak pół roku u Jędrusiów. Jeszcze psie krwie Niemcy zbili mu dzisia morde na fest.

— No dobrze — decyduje się Świerk. — Pojdziesz do niego — tylko żeby cię nikt nie widział. Pójdziesz i powiesz mu co i jak. Tego rannego trzeba odwieźć stąd niedaleko w jedno miejsce. Niech wóz przygotuje i około jedenastej, jak już nikt nie będzie się we wsi kręcił, podjedzie na skraj lasu. Powiedz mu jeszcze, że odpowiedni ludzie będą wiedzieli, co zrobił, niech się nic nie boi. No, jazda! Zrozumiałeś!

— Tak jest.

— A jakbyś komu pisnął o tym, co widziałeś — to pamiętaj — pistolet zalśnił w reku Świerka, a jeszcze groźniej błyszczały w mroku jego oczy. Chłopak zerwał sie jak z procy.

— Wszystko będzie w porządku.

— Niech tam słomy dobrze podłoży!

Przez chwilę słychać jeszcze chrzęst jego kroków, a potem tylko czarna gałęź świerkowa chwieje się kilkakrotnie w zupełnym milczeniu.

Nadeszły długie godziny czekania. Żelbet miał ciągle wysoką gorączkę, często popadał w omdlenie. Świerk zrobił w tym czasie mały wywiad terenu. Przyniósł wody ze strumyka, którą chory pił jak gąbka, obmył mu twarz i szyję, z rozwidlonej gałęzi zrobił coś w rodzaju kuli. Jednocześnie usztywnił mu nogę kawałkiem kija. Nie zabrało to wszystko razem wiele czasu, pozostało go na bezczynność drugie tyle.

Ze wsi nie dochodziły żadne odgłosy. Psy, o ile nie zostały powystrzelane, uciekły dawno gdzie pieprz rośnie i tylko w krzakach robiło się coraz jaśniej. Czarne igły, obwiedzione nitkami światła, iskrzyły się, jakby za każdą ukryto osobną lampę. W dole oczy Żelbeta błyszczały, jak oczy kota.

Świerk poszedł się umyć. Strumień płynie w małym wąwozie, wśród rzadkich drzewek. Na zboczu czernią się ażurowe sosny, księżyc w pełni wylewa na wodę srebro rtęci. Woda jest lodowata, pływają w niej drobne muszki. Po chwili odświeżony i czysty siedział przy koledze. Niepokoili się. A może wszystko na nic, może chłop zląkł się w ostatniej chwili, lub coś wypadło co pokrzyżowało plany... Zostaliby zdani na własne siły. — Lecz nie. Ktoś zbliżał się ostrożnie. Świerk oparł parabellę o drzewo, ale spokój powrócił mu, zaraz gdy poznał chłopaka wysłanego po konie. Ten, klapnąwszy na ziemi, jak po wielkim trudzie, referował z podnieceniem swoje starania. Zanim przedostał się do zagrody Zielińskiego, omal dwukrotnie nie wpadł w łapy Niemcom. Kręcą się po wsi, jak psy, nic nie zważając na to, że noc; widocznie nie obawiają się żadnej napaści. Podobno wróciła już część samochodów z Barkowic, są nawet ranni. Ale dzięki Bogu wszystko zrobione jak trzeba. Zieliński to chłop odważny i w lot orientuje się w sytuacji. Wóz czeka na skraju lasu. Zerwali się szybko i ponieśli rannego we dwóch, ostrożnie, chłopak pierwszy, a Świerk przy głowie Żelbeta, z tyłu. Podwoda stała rzeczywiście, zdwojona chudym a długim cieniem. Koń miał uszy ze srebra. Nieruchomy grzyb na koźle uchylił kapelusza, w odpowiedzi na co Świerk zasalutował do gołej głowy, po czym ułożono Żelbeta na słomie, przykrywszy jak się dało.

— Dokąd pojedziem? — spytał chłop.

— Polnymi drogami w kierunku na Minogę.

Ruszono. Furmanka potoczyła się powoli, chłopak został na miejscu.

— Z Bogiem — rzekł na pożegnanie.

— Dziękuję wam — odpowiedział mu Świerk.

— Da się to tak wyjechać, żeby nikogo nie spotkać? — pyta Świerk woźnicy.

— Zrobimy co można. Ale Niemcy diabelnie łażą.

Świerk wychyla się z wozu i urwawszy tabliczkę z nazwiskiem właściciela ciska ją z rozmachem w krzaki.

— Macie żonę i dzieci — mruczy.

— Mom—odpowiada twardo chłop. Spogląda na pistolet Świerka, na rannego w słomie i grdyka porusza mu się. Poza tym jest zimny. Nie mówia nic do siebie. Woźnica pociąga lejcami, koła skrzypią czasem i wstrząsają na korzeniach. Księżyc, jak rozdarty balon, ciekł zlekka po chmurach, a chłód nocny i cisza wzbudzała dreszcz lekkiego niepokoju.

Zjeżdżali teraz z leśnej drogi na trakt, który schodząc w dół przecinał stromym mostem rzeczkę i wąwóz. Po drugiej stronie widać było jak droga wrzynała się ostrą szczeliną we wzgórze. Wóz potoczył się szybciej. Chłop ściągał lejce w obawie przed głośniejszym turkotem kół, a Świerk usłyszawszy jęk rannego, wychylił się z siedzenia w jego stronę. Wszystko to trwało sekundy — lecieli przecież bardzo szybko. Znajdowali się już na pomoście, kiedy Świerk obrócił twarz do przodu. Zatrzeszczały lejce, zmuszając konia do przysiadu na zadzie, osie zarzucają z trzaskiem. Naprzeciwko wyjeżdżał w pełni światła księżycowego duży Chevrolet, na przymkniętym gazie i ostro piszczących hamulcach. Wynurza się ze szczeliny wzgórz, zagłuszony turkotem furmanki i staje u wjazdu na most. Dostrzegli go zbyt późno. Teraz już nie ma możliwości odwrotu.

Dość jasno, aby widzieć wszystko, co się działo. Po pierwszej sekundzie osłupienia chłop zrywa się, staje na krawędzi wozu i jednym susem przesadza barierę mostu. Jest to dość wysoko, łatwo mógł połamać sobie ręce i nogi, ale i woda musiała mieć dużą głębokość. Jedynie głuchy plusk dolatuje do uszu stojących na górze. Świerk czuje, że jest lodowato zimny. Dłonie, nogi, wszystko jak z chłodnego metalu. Zdaje sobie sprawę z tego, co musi teraz zrobić. Kolba parabelli parzy jego dłonie, domagając się zastosowania we właściwym celu. Gdyby Żelbet nie odezwał się, sprawiał wrażenie trupa, łatwiej przyszłoby wpakować mu kulę. Ale nie. On właśnie wtedy począł jęczeć. Za późno stanowczo myśleć o walce, wykorzystać wóz jako osłonę, czy coś w tym rodzaju. Niemcy prędzej zorientowali się w sytuacji i seria automatu przeszła nad koniem, jak przeciągnięcie kijem przez sztachety. W ostatniej chwili Świerk, zdając sobie zresztą sprawę z całej podłości takiego postępku, usiłował wcisnąć parabellę w ręce Żelbeta.

— Masz — mówił gorączkowo — wywal sibie w łeb! Ja nie mogę! — Za długo go bronił, za długo męczył się dla niego. Ale Żelbet był nieprzytomny.

— Jeśli ja go nie dobiję, to i oni tego nie zrobią — przemyka mu przez myśl desperacko i w tej chwili gotów jest bić się z całym światem, że tak będzie istotnie. „Przecież złapali go bez walki, bez broni". Uparcie czepiał się wszelkich pozorów rozgrzeszenia, odwracających uwagę od zadania, wobec którego tchórzył. Pomyślał o zbiegłym chłopie. Chciałby go mieć w tej chwili przy sobie, choćby jako świadka swej słabości. Ale ulga, jaką daje przejściowy zamęt myśli trwa krótko i obiektywnie nie jest niczym innym jak bezużytetycznym przedłużaniem decyzji. Czyn pozostaje jedynie jednoznaczny, tylko on się liczy, wyzwalając od psychicznej męki. A wahanie było ostatnią okolicznością łagodzącą w jego sumieniu. Niestety to wahanie nie może trwać dłużej, niż kilka sekund. Powtórna seria Schmeissera już niżej sterowana, zacieśnia preraźliwie zakres czasu, pozostawionego na rachunek sumienia. Koń zakwiczawszy żałośnie, wspina się w agonii na tylne nogi i pociągnięty chomontem, pada na kolana, grzebiąc się w rzemieniach uprzęży. Świerk nie odwraca wzroku od ciała Żelbeta. Na gorzkie pożegnanie brakło słów. Zamiast pytania, czy wyrzutu, na twarzy przyjaciela dostrzegł grymas męki i słyszał trzask miażdżonych pod butami esmanów kości jego palców. Zdecydowanym ruchem pociągnął język spustowy. Parabellą szarpnęły wystrzały najgłośniejsze, jakie w życiu słyszał. Pierwsza kula została niecelnie umieszczona w nasadę szyi. Równocześnie z buchającą krwią, Żelbet błysnął białkami oczu i zawrzeszczał chrapliwym głosem:

— Jezus!...

Druga kula, w głowę, wydarła tylko urywany skowyt, oraz konwulsje ciała. Świerkowi nie drżała ręka. Teraz jeszcze jedną wpakował w usta trupa i krzycząc: Kurwamać!... — skoczył w wodę.

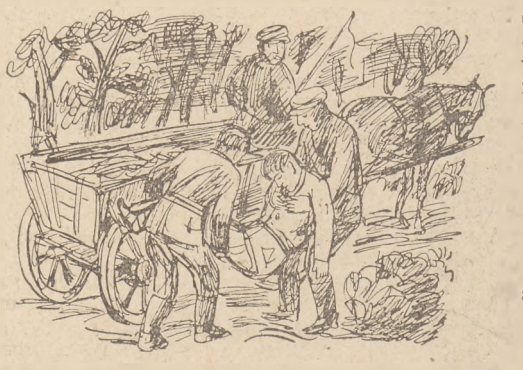

Słońce, zmienione w tysiąc płatków światła, iskrzy się jak rybia łuska, wędrując po rękawach sukiennych mundurów, po krótko podstrzyżonych czuprynach, po wojskowych czapkach z orzełkiem. Najpiękniej lśni wypolerowany grzbiet konia, kasztana, który uwiązany obok drzewa, tupie od czasu do czasu głucho kopytami w ziemię. Gęsta sieć gałęzi chwieje się pod tchnieniem lekkiego powiewu, przepuszczając, zależnie od tego więcej, lub mniej słonecznego światła. Mimo gorącego dnia w lesie czai się chłód, przesiąknięty zapachem żywicy i zbutwiałych liści. Tutaj przy drewnianym stole, na prowizorycznych, wbitych w ziemię ławach, siedzą oficerowie: dwóch poruczników, kapitan i major. Mundury mają bez dystynkcji. Opodal w krzakach rozłożono tabory. Stamtąd dolatywało w ciszy chrupanie siana końskimi szczękami, podobne do gruchania gołębi. Z drugiej strony niedaleko widniały ustawione w kozły kabeki. Za plecami Świerka dwóch żołnierzy czeka z bagnetami na broń. On sam siedzi naprzeciwko dowództwa wyprostowany i blady, ale przebrany w czysty drelich i buty błyszczące pastą. Patrzy niewidzącymi oczyma poza plecy majora, odpowiadając spokojnym głosem na zadawane pytania.

— Kapralu podchorąży Świerk — mówi sucho major, marszcząc czoło, jakby z wewnętrznego wysiłku — odpowiadacie po raz ostatni. Działamy wspólnie dość dawno, więc przypuszczam, że zdajecie sobie dobrze sprawę ze znaczenia wygłoszonych tutaj zeznań. Chodzi o prawdę — prawdę dotyczącą śmierci kolegi — przerwał na chwilę aby rzucić przelotne spojrzenie spod ściągniętych brwi na siedzącego przed nim podchorążego. Spotkał chłodny, dziwnie jasny błysk oczu o kolorze aluminium. Ominął ten wzrok.

— Kapralu podchorąży Świerk. Jesteście odpowiedzialni za życie rannego towarzysza. Jak to się stało, że trupa podchorążego Żelbeta znaleziono u Niemców? Panie poruczniku, proszę notować.

Siedzący obok oficer schyla się nad notesem.

— Żelbeta dostrzeliłem na moment przed wpadnięciem w ręce nieprzyjaciela — mówi głośno Świerk.

Ołówek porucznika szeleści, od taborów dolatuje parskanie koni. Maleńki komar, błyszczący w słońcu, jak okruch staniolu, krąży nad głowami siedzących z cichym, żałosnym jękiem.

— Czy macie na to jakichś świadków? — pyta major, a głos jego jakby lekko zadrżał.

— Nie.

Andrzej Braun

Ludwik Marcinkowski

„Boi się on więcej republiki niż ateizmu"

Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie, to jednak także i w XX wieku bywamy zmuszeni bronić autorytetu Nauki. W ustawicznej walce i pod obstrzałem wroga posuwa się jej rozwój. W pełni triumfująca — zdawało by się — dziś wiedza ostrzeliwana jest nie tylko z zasadzki: w biały dzień jest atakowana z najgrubszych dział przez obóz lękających się prawdy.

W biały dzień, na pierwszej stronie „Tygodnika Warszawskiego" *) — pisemnie, a słowem — ze wszystkich ambon rzuca się — dziś! — jadowite a nonsensowne oszczerstwa na nauki przyrodnicze, podstawę wiedzy współczesnej. Światopoglądowi materialistycznemu, światopoglądowi naukowemu, opartemu na niepodlegającym dziś dyskusji prawie ewolucji Darwina i prawach ekonomicznych Marksa, zarzucają nadęci pychą dygnitarze frazesu „nieuznawanie przykazań bożych, ani praw moralnych, ani etyki chrześcijańskiej, ani w ogóle stałej normy moralnej". Zarzuca mu się — ni mniej ni więcej, — że wyznaje on jedynie „zmysłowe używanie, walkę o warunki bytu i nienawiść".

Naiwnej i wierzącej z dobrą wiarą w „nieomylność" dostojników Kościoła, młodzieży pragnie się wmówić, że wedle „teorii materialistycznej" człowiek „ma się wyrzec zasad moralnych, swych duchowych pragnień i wzlotów, a stać się dopełnieniem oraz sługą materii, że jest poświęcony na ofiarę maszynerii gospodarczej, w której jest kółkiem użytecznym, jak długo ma siły". Światopogląd przyrodniczy oparty o prawo ewolucji ma wedle tych „znawców" nauk przyrodniczych: „poniżać człowieka" i stwierdzać, że „zszedł on po prostu z drzewa". Przez cały świat naukowy uznane prawo ewolucji nazywa się w tym frontalnym ataku na wiedzę i postęp „atakiem błędu" i „zamachem na wiarę w pokrewieństwo z Bogiem Ojcem"! Nie wierzymy oczom naszym. Czy mieszkamy w dzikim Texasie XIX-wiecznej Ameryki, której obskurantyzm przerażał jeszcze wiek ubiegły? Czy najwięksi dygnitarze kościelni nie orientują się zupełnie, lub raczej w ogóle nie czytają odnośnej literatury naukowej, czy też umyślnie udają, że nie wiedzą o tym, że prawo ewolucji, prawo Darwina uznają w pełni najbardziej katoliccy uczeni, a ostatnio rozprawę „O powstaniu i drogach rozwoju życia na ziemi" prof. U. J. rektora Władysława Szafera wydał drukiem katolicki Uniwersytet Lubelski? Katolicki uczony podkreśla, iż w problemie powstania i rozwoju życia na ziemi podstawowymi naukami są fizyka, chemia i biologia. Stwierdza więc, że nauki tak bardzo materialistyczne, — a nie nauka Pisma Świętego — decydują w zagadnieniu życia na ziemi. Uczony w zakończeniu swej świetnej pracy, stwierdzając „żywiołową, progresywną ewolucję gatunku człowieka" — stwierdza możliwość, że gatunek nasz może równie dobrze „iść w kierunku wszechstronnego rozwoju i postępu", jak „utknąć w ślepej uliczce, lub co gorsza zejść na bezdroża regresji", czyli uwstecznienia. Innymi słowy uczony katolicki nie wyklucza możliwości — teoretycznych zresztą — powrotu gatunku człowieka do stanu zwierzęcości, z której wyszedł on najmłodszy, najmędrszy, a przez to najnieszczęśliwszy, najbardziej rozdarty, najbardziej wątpiący, ale i najdumniejszy syn świata zwierzęcego.

Atak na światopogląd materialistyczny w liście pasterskim biskupów jest w zasadzie owym stałym nieporozumieniem wiary i wiedzy, którego przy głębszej iteligencji dało by się uniknąć. Wiedza pozostawia zagadnienia religijne na uboczu swych spraw, nie interesuje się nimi (poza socjologią) i traktuje je jako sprawę prywatną człowieka. Jest zbyt potężną i opartą na prawdzie, aby nie być tolerancyjną. Nie można tego niestety powiedzieć o religii. W swym totalizmie nie chce się ona ograniczać do własnego naturalnego zakresu działania. Nie znosi żadnych prawd poza swoimi, choćby to były prawdy naukowe. Pragnąc opanować wszystko — ponosi wszystkie klęski: prestiżowe i historyczne, jedna za drugą. Zamiast przyjąć wiedzę za swoją, zgodną z bóstwem, jeśli zgodną z prawdą, podejmuje walkę beznadziejną i nierówną z nieodwołalnie żałosnym dla siebie wynikiem. Proste te prawdy doceniają w pełni chrześcijańskie wyznania postępowe, jak np. Bracia Polscy w Krakowie, a także jeśli się nie mylę i neokatolicyzm zachodu. Tylko „Polonia semper fidelis", zawsze wierna, ale swej nieżyciowej postawie i ponuremu donkichotyzmowi klerykalnego wstecznictwa. Tak jak na płaszczyźnie życia społecznego żądamy od Kościoła ścisłej neutralności i niemieszania się do polityki, tak i nauka ma prawo wymagać niemieszania się Kościoła do spraw nauki.

Atakując światopogląd materialistyczny, światopogląd przyrodniczy w sposób naiwny i obłudny, niezgrabnym, niewybrednym językiem i argumentami ojca Pirożyńskiego, zdradzającymi — poza świątobliwym frazesem — pustkę i ignorantyzm, narazić się musi kościół wojujący w Polsce na niezmierzone repliki. W tych replikach będzie można łatwo zdemaskować frazes religijny owych wystąpień równie tendencyjnych, a politycznie reakcyjnych, jak niesłychane w swym faryzejstwie orędzie Piusa XII opiekuna faszystów, podopiecznego imperialistów i wroga Polski. Będzie można przypomnieć „kościołowi wiary" jego historię, będącą jednym pasmem wiary ale w przemoc, wiary w możnych tego świata, wiary w pieniądz, jednym pasmem cynicznej współpracy z reakcją, z carami, cesarzami i bogaczami — w obronie wyzysku, ucisku i ciemnoty, a przeciwko wolności, przeciwko rewolucyjnym ruchom wolnościowym i narodowym. Będzie można przypomnieć „światłemu kościołowi", że jego obecny atak na światopogląd materialistyczny jest tylko nawykiem, tradycją, kontynuacją jego nieustannej walki z wolną myślą ludzką, walki znaczonej stosami Giordana Bruna, Husa, więzieniem i torturowaniem uczonego starca Galileusza. Będzie można przypomnieć Kościołowi, mającemu wciąż polskość na ustach, że najlepsi synowie tej Polski widzieli w nim Jej zgubę, jak Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański. Że ten „kościół pobożny" prześladował Żydów, arian, starochrześcijan, dyzunitów, rozpętał wojny kozackie i moskiewskie, sprowadził potop. Wypędził z Polski najszlachetniejszych synów narodu, element najpostępowszy, Arian Polskich; zburzył ich miasta uniwersyteckie, palił szpitale, biblioteki; rękoma swych jezuickich wychowanków znieważał zwłoki pomordowanych i profanował cmentarze. Będzie można przypomnieć, że wymowni dziś frazesowicze nie znaleźli nigdy ani słowa potępienia dla zajść kieleckich i do dziś nie mogą znaleźć — poza naiwnym proboszczem z Biecza — słów potępienia dla „papieża-milczka", gdy chodziło o Oświęcim, ale „papieża - złotoustego", gdy chodzi o obronę i kaptowanie sobie Niemców. Będzie można przypomnieć, że korzysta się z gościnności świeckich uniwersytetów, przybytku wiedzy dla wydziałów teologicznych, ale nie szanuje się praw gościnności, wypisując przy każdej sposobności niewybredne paszkwile, najdziksze oszczerstwa pod adresem inaczej myślących ludzi nauki, pod adresem wiedzy przyrodniczej, niebezpiecznej rzekomo dla moralności w swym materialistycznym światopoglądzie.

Jakże trafne, prorocze i wiecznie aktualne są słowa nieśmiertelnego Boya o „naszych okupantach". Wprawdzie autorzy listu pasterskiego wzywają młodzież: „nie gorszcie się materializmem starszych", ale przecież równocześnie tych starszych, starych profesorów nauk przyrodniczych jedynie za wyznawanie światopoglądu materialistycznego obrzucają obelgami jak: „łatwizna życia", „złe obyczaje" i wreszcie (wieczna obsesja acetycznych lubieżników) — „duch nieczystości" (tak).

Wobec tego poziomu zaiste średniowiecznej umysłowości (w XX wieku) mogą opaść ręce, może chwycić rozpacz. Ale zdrowszy jest śmiech. Dlatego należy tymczasem skwitować uśmiechem politowania ten atak pasterski i na naukę, a na polską rzeczywistość („a dziś, gdy niejednemu z was wypadło stanąć do próby swej wiary") i na współzawodnictwo pracy („główną cnotą ma być rekordowa wydajność pracy"), oraz gloryfikację naszej przeszłości historycznej („jesteśmy tych dziejów czcicielami").

Tych zaś, którzy rzucają (naturalnie w spokoju swego chrześcijańskiego sumienia) niewybredne, gołosłowne oszczerstwa na wszystkich obywateli ośmielających się wyznawać inny niż oni światopogląd należało by zapytać: my przyrodnicy, socjologowie, historycy, prawnicy znamy was. Ale cóż wy wiecie o nas, o wiedzy przyrodniczej, którą pozwalacie sobie sądzić, co wiecie o światopoglądzie, który atakujecie, co reprezentujecie w nauce, którą potępiacie, nie znając jej, wy „bojący się prawdy"?

A może tylko bojący się utraty „władztwa dusz", a z tym i władzy politycznej i świeckiej? Mickiewicz pisząc o „urzędowym katolicyzmie" sądził, że „boi się on więcej republiki niż ateizmu". Zdaje się, że zdanie to jest i dziś aktualne.

*) „List pasterski" biskupów, ogłoszony do młodzieży dn. 23. 5. br., a drukowany w „Tygodniku Warszawskim" 6.6. br.

Konrad Nałęcki i Andrzej Wajda

Głos młodych plastyków

E. Eibisch
Rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

„Kraków był wówczas miastem czasów spokojnych, delektowania się sztuką, zajmowania naukami historycznymi. Dochody ludności w sposób pośredni lub bezpośredni pochodziły z ludności zaboru rosyjskiego i nie wymagały zbytnich zachodów ze strony ludności miejscowej Lojalizm austriacki nasycał każdą cząstkę atmosfery miejskiej, a dotrzymywały mu kroku nie tyle religijność, ile potulność bezgraniczna wobec duchowieństwa, które zresztą trzęsło miastem poprzez konfesjonały i przez panie z arystokracji i zamożniejszego mieszczaństwa".

Tak Krzywicki charakteryzuje stolicę sztuki sprzed 70 lat.

Zagadnienia plastyczne stają się dziś nie tylko sprawą artystów, lecz całego społeczeństwa. W dotychczasowej dyskusji wyższe uczelnie artystyczne były pomijane. Sprawy dotyczące nas nie mogą być bez nas dyskutowane. Ale jakie posiadamy ku temu przygotowanie? Pierwsze zagadnienie to środowisko. Na ile Krzywickiego charakterystyka pasuje dla określenia dzisiejszego Krakowa? O ile zmienił się skład klasowy ludności miasta, skąd ludność czerpie swe dochody, skąd napływa młodzież studiująca i jaki jest jej skład społeczny? W każdym razie jest oczywiste, że Kraków dla kształtowania się typu artysty ludowego nie przedstawia żadnych podniet, nie daje żadnych kontaktów z odcinkami pracy najbardziej żywymi i ważnymi w Polsce.

Plenum Zarządu Okręgowego Akademickiego Zw. Młodzieży Polskiej obradujące przed kilkoma dniami w Krakowie postawiło jasno sprawę niewspółmierności między żądaniami młodzieży postępowej, stawianymi nauce, a więc i swym profesorom, a możnością ich zaspokojenia. Wszystkie wyższe uczelnie w całej Polsce, również i w Krakowie musiały zostać uruchomione już w pierwszych dniach niepodległości. Do pracy stanęli dawni profesorowie. I kiedy dziś młodzież domaga się wprowadzenia na uniwersytety metod naukowych marksizmu, to urzeczywistnienie tych żądań nie sprowadza się tylko do głoszenia marksizmu z katedr, bo również ważnym jest, kto go będzie głosił. Studenci robotnicy i chłopi muszą widzieć w profesorach oddanych im sojuszników w walce klasowej.

Spośród wszystkich przedwojennych uczelni krakowskich jedynie Akademia Sztuk Pięknych uzyskała dzięki poparciu Rządu Jedności Narodowej nowy skład profesorów. W historii Akademii krakowskiej tego rodzaju zasadnicza zmiana miała miejsce po śmierci Matejki i Rodakowskiego, kiedy nominację na dyrektora otrzymał w 1895 roku Julian Fałat. W pamiętnikach swych wspomina on o oburzeniu społeczeństwa krakowskiego, kiedy przy powoływaniu na katedry profesorskie pominięci zostali miejscowi epigoni Matejki, a Fałat zaprosił zza granicy Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Axentowicza i Stanisławskiego.

Reformy Fałata w Akademii nie inspirowanie były bynajmniej politycznymi ruchami socjalistyczno - ludowymi, jakie wówczas miały miejsce w Królestwie i Galicji. Słowa, w których Fałat stara się wyrazić swój ideał „sztuki narodowej" w jego pojęciu ludowej, są dowodem, że należał on do wyznawców starej hierarchii „rządzących i słuchających" i na niej opierał swe plany reformatorskie. Protektorzy: prof. Zoll, hr. St. Tarnowski i hr. Andrzej Potocki nie uzyskali nic więcej poza tytułem „Akademii", urzeczywistnienie zasadniczych reform było dziełem samych studentów, „usposobionych radykalnie". Jak mówi w „Dziejach Krakowskiej A.S.P." dr Ludwik Ręgorowicz. Strajk studentów w 1908 roku skierowany był przeciwko miejskiej Radzie, która jako właścicielka budynku Akademii nie wykonywała zasadniczych remontów, skutkiem czego stan higieniczny budynku przedstawiał się odrażająco. Ponowny strajk w 1909 r., który zmusił Fałata do zamknięcia uczelni, uzyskał poparcie postępowego społeczeństwa i prasy. Studenci dzięki pomocy posłów Daszyńskiego i Diamanda uzyskali poparcie Min. W. O. w Wiedniu na zrealizowanie swych dezyderatów, w których poza żądaniem rozszerzenia programu nauczania mieściło się żądanie obieralności rektora, zatwierdzenie regulaminu wewnętrznego i przebudowy gmachu. Tak wiele miejsca poświęcamy sprawom przeszłości Akademii, bo nie porównując z nimi nie można ocenić wartości, jaką dla sztuki polskiej przyniosła nie reforma, lecz wstęp do niej, jaką było „wietrzenie" Akademii przeprowadzone przez obecnego jej Rektora E. Eibischa. Zasadniczą jej wartością jest przeszczepienie na grunt polski sztuki impresjonistów, ściślej — poimpresjonistycznej. Odkrycia formy i koloru w malarstwie francuskim drugiej połowy XIX w. mogą się równać w historii malarstwa z odkryciami perspektywy i światłocienia czasów Renesansu. Bez przeszczepienia ich na grunt polski powstałaby luka nie do przebycia w dalszym jego rozwoju.

Dalszą drogę reform szkolnictwa artystycznego warunkują nowe przemiany społeczno-polityczne. „Żadna reforma szkolna nie może być skuteczna, jeżeli nie powiążemy jej z ogólną reformą ekonomiczną, polityczną i kulturalną. Nie można zreformować szkolnictwa bez odnowienia cywilizacji, ani nie można reformować cywilizacji bez odnowienia szkolnictwa" (J. Lacroix „Kryzys Uniwersytetu"— „Myśl Współczesna"). W plastyce te przemiany objawiają się konkretnie w **innym zamówieniu społecznym.** W rozmaitych warunkach społeczno - politycznych rozmaite formy przybierało zamówienie: było przedmiotem kultu, przedmiotem apoteozy władcy, bywało rozrywką i zbytkiem kapitalisty — lecz nigdy nie było zamówieniem na „dzieło sztuki". Jest pewnym, że zapotrzebowanie na rynku na dzieła plastyczne wymagało od artysty umiejętności zrobienia obrazu czy rzeźby na pewnym poziomie rzemieślniczym. Trudno ściśle odgraniczyć w tym terminie te elementy, które już poza zakres rzemiosła wychodzą. Ostatecznie i zrobienie dobrej kompozycji uważać możemy za rzemiosło — „dzieło wykonane foremnie" (Walicki). Obecna metoda nauki w ASP zapewnia wysoki poziom „techniczny" dla wykonania obrazów **sztalugowych** — tzn. dla formy dzieła plastycznego, **zatracającego swą rację wobec nowych zadań sztuki** — zadań **powszechnego kształcenia plastycznego nowego masowego konsumenta.** Lecz zadanie to jeszcze nie zamówienie. Jak zamówienie konkretnie potrafiło wykorzystać umiejętności artysty, a równocześnie zmienić nurt jego twórczości, niech ukaże przykład szkoły rzeźbiarskiej A. Zamoyskiego, którą założył on w Rio de Janeiro. Poważny ten i ceniony rzeźbiarz, jeden z współtwórców pierwszego triumfu w r. 1929 członków „Komitetu Paryskiego" w Paryżu, nie mógł swych planów zrealizować w Polsce przedwojennej, w której nie otrzymywał zamówień aż tak dużych, by stałe utrzymywanie pomocników było konieczne. W Rio de Janeiro zamówienia na pomniki uwarunkowały stworzenie szkoły, która wspólnie z mistrzem, systemem pracowni rzemieślniczych zamówienia te wykonywała. Nie inaczej jest z malarstwem. Do wykonania fresku, czy nawet dużej kompozycji, potrzebny jest pomocnik, który z czasem staje się uczniem, ale pocóż on przy namalowaniu „obrazka" dla mieszczańskiego wnętrza? Jeśli więc twierdzimy, że nowe formy plastyczne i nowi artyści mogą powstać na drodze **zespołowej pracy mistrza i uczniów nad konkretnym zamówieniem, to wydajemy tym samym walkę tradycyjnej formie „akademii".**

Jak pokrótce przedstawia się rozwój metody nauczania w tego typu uczelniach?

Zanik systemu nauczania plastyki w warsztatach ma swój początek w okresie sprawowania przez Davida funkcji „nadwornego" malarza Dyrektoriatu Bonapartego. Akademie wówczas otworzone miały za zadanie zgromadzić nie pomocników mistrzów, jakimi dawniej byli adepci sztuki, ale tych, którzy swobodnie wobec natury i tradycji mieli tworzyć dzieła „wyzwolone". Oczywiście nie przybyło dzięki temu indywidualności, te były jak dawniej nieliczne. Pozostali, czyniąc gwoli zamówieniu, malowali nadal to co było potrzebne, a więc historyczne i mitologiczne „maszyny" do ozdoby nowych salonów.

Akademia w swojej metodzie nauczania musiała, rzecz oczywista, reprezentować jakieś stabilizujące się formy sztuki. W akademii uczeń nie podpatrywał mistrza, nie musiał mu wyrwać jego tajemnic, często uważał go za zbyteczny dodatek do pracowni i modelu.

Profesor w tej sytuacji, chcąc spełnić swoje zadanie, musiał zdobyć krytyczny stosunek wobec własnej sztuki i jej drogi rozwoju, musiał nauczyć się o niej mówić, mogąc tylko słowem pomóc swemu uczniowi, którego zaczął traktować jako mniej doświadczonego kolegę.

Stało się ważne nie jak profesor maluje, **ale co o malarstwie powiedzieć potrafi.** Tą metodą my zdobywamy obecnie swą wiedzę w Akademii. Rektor E. Eibisch zaprosił do współpracy w charakterze profesorów ludzi, związanych osobiście, bądź pośrednio z dawnym „Komitetem Paryskim". Ludzie ci posiadają jasno sprecyzowany program nauczania, w wyniku ich wysokiej świadomości plastycznej, kultury i przemyślenia wielu problemów w zetknięciu się bezpośrednio z malarstwem tak dawnym jak i obecnym. Poza nimi nie było nikogo, kto by mógł te stanowiska objąć i świadomiej pracę tę realizować. Oczywiste, że w grę weszło malarstwo reprezentowane przez tę grupę, bardziej jednak zapatrywania na cel i środki działania plastyki, uformowane w innej zupełnie rzeczywistości. Czapski, teoretyk grupy, pisze o Pankiewiczu, który wprowadzał ich w „arkana sztuki" najpierw w Krakowie a potem w Paryżu, że obrazy jego i słowa były „odkryciem malarstwa nie tylko nowoczesnego, ale malarstwa w ogóle". Pankiewicza charakteryzował negatywny stosunek do rzeczywistości „z autem i telefonem", której, jak twierdził, namalować nie można.

„Zajęty pracą nad swymi płótnami nie posiadał nic z tej zarażającej, wybuchającej pasji społeczno - artystycznej. Ciągła myśl o jednym, o swojej pracy, wyłączność cechująca go do dziś, ten święty egoizm artysty, dały mu jedynie możność podniesienia sztuki swej do tego poziomu".

Paul Cézanne (1839—1906): Autoportret

Poglądy Pankiewicza wypowiedziane przez Czapskiego, odnoszą się w mniejszej lub większej mierze do całej grupy, która obejmując Akademię i kierownictwo Związku realizuje niejeden z tych poglądów w innej wręcz sytuacji niż ta, w której się one kształtowały. Ci więc, którzy reprezentują w Polsce malarstwo, zwane powszechnie postimpresjonizmem, a niezdefiniowane jeszcze na naszym gruncie, przedstawiają właściwie tak formą jak i tematem sztukę obcą ideologii społecznej, która ją dziś do swej służby powołała.

Ale obca sztuka nie znaczy jeszcze — zła! I odnośnie ich dzieł możemy powtórzyć za Czapskim, że są dla nas „odkryciem malarstwa nowoczesnego i malarstwa w ogóle".

Zamówienie społeczne, którego nikłe próby, jeżeli idzie o malarstwo (Konkurs Olimpijski, Wyst. Z. O., portrety przodowników pracy), oglądaliśmy, nie dały jeszcze zamierzonych efektów. Zaiste, trudno pogodzić formę tzw. „kolorystów" z nową treścią, która ma być wyrażona:

„Rybak Teofil i rybak Teobald.
To nie są ludzie, to ugry i kobald".

recytuje Stefan Flukowski, bliski przyjaciel i uczeń ich malarskiego myślenia.

Rzeczywistość nie znalazła wyrazu w plastyce, pocieszmy się, że nie tylko u nas i nie tylko w malarstwie. Społeczeństwo zdobyło się już na postawienie zadań artystom, zadań niesprecyzowanych, skierowanych ogólnikowo do wszystkich. Nie mogą być one wykonane, póki nie przybiorą postaci konkretnego zamówienia, skierowanego do poszczególnych plastyków. Wystawa Z. O. już w pewnej mierze pokazała kto może je podejmować, jakimi formami mogą być one spełnione. Jeśli więc młodzi mają się stać twórcami nowej sztuki w społeczeństwie ludowym, muszą żądać zreformowania uczelni artystycznych. Pracując nad konkretnym zamówieniem, pod kierownictwem naszych profesorów, będziemy mieli świadomość, że praca nasza jest rzeczywiście potrzebna, potrzebna nie tylko dla wyładowania naszego „natchnienia". Praca z mistrzem o tyle byłaby wspólną, że przejmowalibyśmy jego **plastyczną wiedzę, a nie jego światopogląd. I o tyle jest i będzie trudna!**

W jaki sposób mógł przeciętny student Akademii zdobyć własny światopogląd poza pracownią? Obecna sytuacja jest katastrofalna. Wprowadzenie przedmiotu „Wiedza o Polsce Współczesnej" obowiązującego na II i V roku studiów: jest niewystarczające. Cyfry określające skład społeczny studentów najlepiej dowodzą potrzeby ich wychowywania społeczno - politycznego. W roku akademickim 1946—47 na ogółem 440 studentów ze środowiska chłopskiego pochodziło 12 proc., z robotniczego — 16 proc., a inteligenckiego (dopowiedzmy: drobnomieszczańskiego) — 72%.

A jakie zalegalizowane organizacje ideowo - wychowawcze wykazuje sprawozdanie Akademii? Akademickie Stow. Przyjaciół Muzyki i Akadem. Zw. Morski. Cytując to, przypomniał nam się program nauki pierwszej krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, przewidujący jako przedmioty dodatkowe: naukę muzyki

Van Gogh (1853—1890): Droga pod cyprysami

Georges Seurat (1859—1891): Sekwana pod Courbevoie

i... jazdy konnej. Dotychczasowe życie intelektualne na terenie Akademii wyrażało się działalnością Sekcji Kulturalno - Oświatowej przy Bratniej Pomocy. Wykonanie zadań samokształceniowych opierało się dosłownie na paru kolegach, dokształcających się samodzielnie, a na tyle uspołecznionych, że pragnęli zdobytymi wiadomościami podzielić się z innymi. Odczyty, których tematy obracały się wokół zagadnień teoretycznych plastyki, miały różne poziomy, grzeszyły dyletantyzmem rozumowania i języka, a co najważniejsze, nie przedstawiały żadnej ideologii, nie były wynikiem określonego stanowiska wobec własnego społeczeństwa. W wyniku braku odpowiednich ram organizacyjnych, co zdolniejsi i szukający pola do działania umysłowego i artystycznego, szukali kontaktów z artystami poza uczelnią i miast znajdować pogłębienie swej wiedzy, częściej stawali się narzędziem w ręku tego, czy innego ugrupowania.

Sprawą drażliwą i wymagającą dyskusji jest polityka jaką stosuje Senat w selekcji i przyjmowaniu kandydatów na rok wstępny. Akademia wypuszczająca bezwartościowych ludzi robi to za pieniądze państwowe, a więc zło jest podwójne. Większość z nich zaprzestaje malowania, straciwszy cennych 5 lat nauki, mogąc w tym czasie zdobyć wykształcenie potrzebne do uprawianego w końcu zawodu. Również nie można człowieka takiego uważać za „ambasadora" sztuki w życiu codziennym i obcowaniu z ludźmi. Akademia nie daje wykształcenia teoretyczno-metodologicznego, potrzebnego do przeprowadzenia choćby najprostszego rozumowania na te tematy. Tym bardziej, że „ci odpający" to olbrzymia większość słabych intelektualnie (rozróżnienie w sztuce pomiędzy talentem a inteligencją jest bardzo trudne), a więc główna przyczyna zatargów na terenie Z. P. A. P. Trudności na jakie napotyka w swej pracy każdy student jakiejkolwiek innej uczelni są prawie zupełnie nieznane studentowi A. S. P. Rygory, mówiąc zupełnie otwarcie, mogłyby jedynie sprawę pogorszyć, na niekorzyść naprawdę pracujących nad malarstwem czy rzeźbą. To jest jedynym powodem, że tylko bardzo nikły procent rezygnuje z rozpoczętych studiów.

Łączy się to zresztą ze sprawą może najbardziej palącą, ze sprawą miejsca do pracy. W takich warunkach o pracy w skupieniu, potrzebnej do przeprowadzenia płótna, mowy być nie może.. O warunkach higienicznych w pracowniach też dałoby się wiele powiedzieć. Studentów jest przeszło dwa razy więcej w stosunku do stanu przedwojennego.

Rok obecny zapowiada zmiany na lepsze. Kształtuje się już ogólno-polska organizacja Związku Akadem. Kół Artystycznych, grupująca Koła Artystyczne (odpowiednik Kół Naukowych na innych uczelniach) wszystkich szkół artystycznych, a więc i muzycznych i teatralnych. Program działalności jako główny punkt będzie zawierał organizowanie odczytów z zakresu nauk społecznych oraz odczytów o sztuce dla społeczeństwa, na zewnątrz uczelni.

Powstało już Wydziałowe Koło Z.A.M.P. Zapowiada ono również ofensywę na odcinku wychowania społeczno - politycznego. Współpraca obu tych organizacji może częściowo poprawić przedstawiona sytuację.

Konrad Nałęcki i Andrzej Wajda

Jerzy Miller

P O E Z J E *)

Jerzy Miller

WIERSZE O POKOJU

I

Nieprzyjaciółka pokoju wojna podszepnie
zgubę, nawet gdybyś w radości tonął,
a często właśnie dlatego podszepnie
nadejście swe — palec zatrzymując na domach

nietynkowanych jeszcze, na jezdniach
ledwie oddanych do użytku wspólnie.
Nie ukrywa się wcale, ukazuje bez dna
możliwości, niebo pochmurne

w zygzakach błyskawic, w tropieniu
szczęścia, w tępieniu miłości, w nagłym
skoku zatrzęsionej w posadach ziemi,
w ciśnieniu serca, gdy je strumień bólu nagli.

Znaliśmy ją dobrze. Poklepując — Stara!
Zapomnieliśmy o niej w fabrycznym żyjąc mieście.
Lecz zastanawia mnie, dlaczego staram
się spoglądać na domy słowami przypowieści:

„czy pasują dachy, mury i maszyny
do kresu, który je ogniem wieńczy,
więzy belek, jak płomieni gęsty naszyjnik
na płucach, na szyji, czyż ją upiększy?"

Powstawały metafory jak oddech
zduszony, kiedy obrazy rzeczy niszczył
w wyobraźni, która ruiny jako model
najpiękniejszy wyniosła ze zgliszczy.

II

Gdziekolwiek znaleźliśmy się w dwudziestym
wieku pod stopami chrzęścił śnieg, lub żużel,
lub grudy zakrzepłe. Policyjne orkiestry
na więzienne wkraczały podwórza.

Okryła nas wysoka, bujna trawa.
O miękkości jej łodyg nie powiemy.
Sama pod powiewem wiatru przemawia
treścią nasyconej ołowiem ziemi.

Okrywa nas góra ściętego muru
i płaska tarcza rozsypanych stropów,
pod kariatydą z rękami oburącz
o atlas wspartymi stygnie Europa.

Poza wyspą tłuczonego szkła,
za listowiem i gajami bzu
myśleliśmy, że ustanie szkwał,
na popiele drzew zwęglonych szum.

Lecz przysychał do żwiru ustami
i przylgnął policzkami do gliny.
Sypią deszcze lśniącymi łuskami
po gałęziach skrzypiącej tarniny.

III

Budziliśmy się w krzyku jak chorzy z narkozy
na pobojowiskach, pod murami więzień,
pod ścianą stracenia, w obozach,
na frontach, gdy stopy w kleistej glebie grzęzły.

Gdy reflektor przecinał ciemność
w skrzyżowania trafiały pociski,
pól minowych głucha obojętność
poza dobrym, poza złym, poza wszystkim.

Linia światła uchwyciła jednak
sprawców nieszczęść i w pamięć ich wbija.
Linia śmierci bardziej obszerna
winnych dotąd jeszcze omija.

Rzeźkie powietrze niechaj ocuci
oszalałych i mocnych ze zwycięstw,
perspektywę szeroką ukróci
ukazaniem pięter niebezpieczeństw.

IV

Karmimy się lepszą nadzieją życia,
zamiast sycić się próżną śmiercią,
która wyłania się jak z podszycia
węże sunące ku piersiom.

Wozimy budulec. Z dnia na dzień coraz
piękniejsze są place i bliższe zamysły.
Co wczoraj w odległych projektach i wzorach
przybiera dzisiaj kształt rzeczywisty.

Więc odrzucamy ją precz
natrętną wieść jak zwłokę
i zaprzeczamy wręcz
rozwoju i widoków.

POSŁANIE

Drzewo nasiąkające skrobią
ty samo się ochraniasz
przed suszą, przed ulewą, która żłobi
roślinności bujnej zawias.

Byłoby to dla trawy, dla krzewów, dla trzody,
dla pastuchów, dla wszystkich żyjących obrazą,
gdyby śmierć i groza u podstawy pogody
otoczyła i wzięła ją w jarzmo.

W kamiennym trwaniu uciążliwy jak żywot
głazów bez promienności, ciepła i połysku
żywot ludzi, któryby się zmieniał
dopiero orbitą uderzenia pocisku.

1948

WIDZENIE

Mieczysławowi Jastrunowi

Pod wiewem śniłem na powietrzu
o poranku kwietnia przejrzystym
gdy niebo bez szaty zwierzchniej
topiło się w błękitu wyspie

ciżbę ulicy, zżółkłe place
dokąd nosiła uwięzionym
swą ręką zawinięte paczki.
Blaszany zadrapał pierścionek

jej młodość odrzuconą. W serso
grywały dzieci, śmiech musował
w ogrodach zaczerpnięty piersią
i zarumieniał twarzy owal.

Myślałem: oto jedna dobra,
jaka ją dotąd wiodła siła
i jaka kształtowała forma?
Zazdrosny już nienawidziłem,

patrzyłem w szkliste igły ostu
nieczuły, prawie obojętny
dla drugich i sądzący oschle
jej gesty choćby były piękne.

Wolałem być gdziekolwiek
wtedy, niż w ciszy i westchnieniu.
Na wiosnę deszcz wylewał konwie,
jesienią słońc wydłużało cienie,

aby odkładać na policzkach
pod bieli kredową warstwą
dni, które zmarły na ulicach
rozczapierzone jak nadgarstki

belek, w nacięciach muru tkwiły
gdy niebo pociemniałe dymem
płomieni wylewało żyły,
aż wygaszone zbladło w zimie.

Jej ramion już nie muska
szalu zmięta czerwień,
łuki jej brwi i zimne usta
zdziwione są, bowiem materia

na wióknach ciała się przegina
i obejmuje piękne niegdyś
włosy i oczy już zaszkliła
glazurą iłu. Oto rzekłbyś,

że utraciły siłę ciernie
nad jej zdziwieniem, gdy zapadła
w obszary nasycone czernią
zrudziałą w materiału fałdach.

---

*) Z tomu poezji, który ukaże się nakładem „Książki"

Stanisław Golachowski

MIASTO PRZEMIAN SPOŁECZNYCH

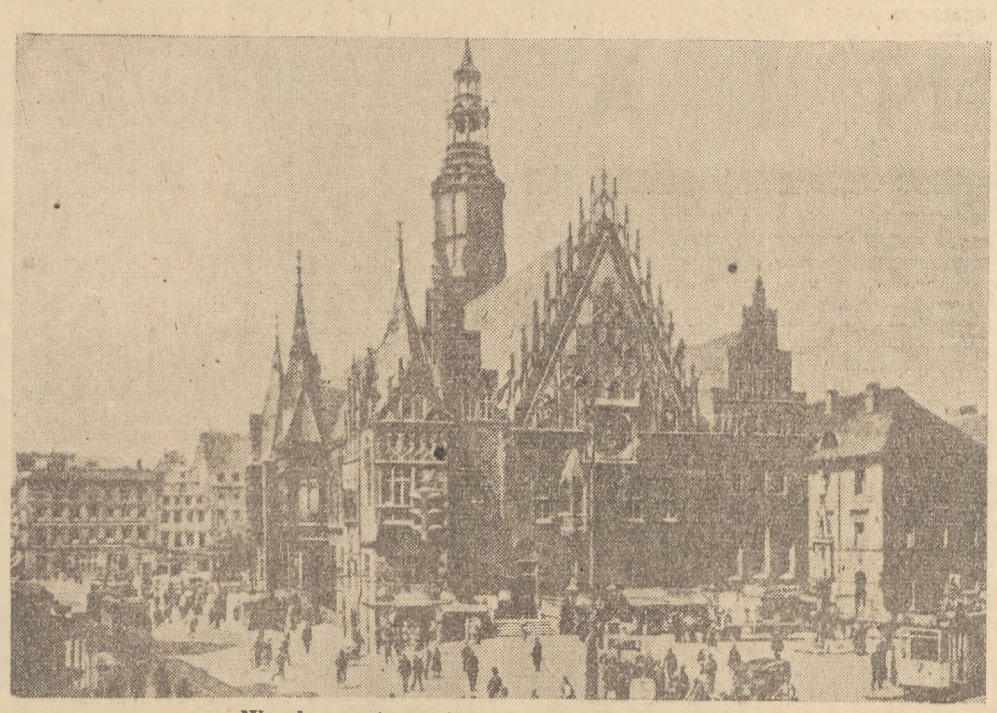

Wrocław: ratusz z XIV i XV w. (późny gotyk)

Przesunięcie granicy zachodniej Polski stworzyło warunki, umożliwiające szybką przebudowę struktury społeczno-zawodowej kraju. Wystarczy porównać przedwojenną strukturę Polski centralnej z Ziemiami Odzyskanymi, aby w sposób jaskrawy okazało się, że przesunięcie terytorialne ludności — musi pociągnąć za sobą zmiany zawodowe i socjalne.

	1938 r. Polska centr.	1939 r. Ziemie Odzysk.
rolnictwo	54,0%	29,0%
przem. i górnictwo	24,0%	31,0%
handel, komunik., służba publiczna	17,0%	26,0%
inne	5,0%	14,0%
	100,0%	100,0%

Do tego należy dodać, że w miastach Ziem Odzyskanych w r. 1939 mieszkało 53% ludności, podczas gdy w Polsce centralnej tylko 32%. Wprawdzie nikt nie zamierza na Ziemiach Odzyskanych odtwarzać ich dawnej struktury, jednak zastane tu osiedla, urządzenia techniczne, warsztaty pracy w dużej mierze wpływają na kierunek przemian. Z góry można było przewidzieć, że dokona się tu na wielką skalę przesunięcie ludności z osiedli wiejskich do miejskich, z zawodów rolniczych do przemysłowych i usługowych. Dotychczasowe przesunięcia społeczne odbywały się na Ziemiach Odzyskanych zupełnie samorzutnie, dlatego rzeczą interesującą jest skontrolować pewien wycinek tych wielkich procesów społecznych, aby stwierdzić, o ile rzeczywistość potwierdza przewidywania i plany. Sekcja Socjologiczna instytutu Śląskiego we Wrocławiu na zlecenie Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego podjęła taką właśnie próbę uchwycenia obrazu przemian ludnościowych i społecznych w stolicy Śląska — Wrocławiu. Oto kilka danych uzyskanych z wstępnych badań nad tym trzystutysięcznym skupieniem ludzi, rozpoczynających nowe życie w wielkim mieście.

Jako pierwsze zagadnienie wysunęło się pochodzenie terytorialne ludności. Pewną orientacyjną odpowiedź dała analiza 10% kart meldunkowych mieszkańców Wrocławia. Podział badanej części mieszkańców Wrocławia według województw, w których urodzili się, przedstawia się następująco:

Przesiedleńcy:

województwo	Odsetek urodzonych
poznańskie	14,7
warszawskie	13,6
kieleckie	8,0
rzeszowskie	7,6
krakowskie	7,0
łódzkie	6,5
lubelskie	5,7
śląsko - dąbrowskie	3,1
białostockie	2,8
	razem 69,0%

Repatrianci:

byłe województwo	Odsetek urodzonych
lwowskie	9,8
wileńskie	2,8
tarnopolskie	2,7
stanisławowskie	1,8
wołyńskie	1,9
poleskie	0,9
nowogrodzkie	0,6
	razem 20,5%

Reemigranci, urodzeni za granicą 10,5%

Już sam fakt zmieszania ludzi z różnych środowisk społecznych powoduje zanik dawnych więzi sąsiedzkich, dawnych autorytetów lokalnych, dotychczasowych podstaw i dążeń. Na miejsce dawnych form życia tworzą się nowe, **„wrocławskie"**. Wśród przybyłych do Wrocławia zwraca uwagę stosunkowo duży odsetek przesiedleńców z województwa poznańskiego i warszawskiego. Podobne zjawisko obserwuje się w Szczecinie. Jednak żadna z grup terytorialnych, przybyłych do Wrocławia nie jest na tyle silna liczebnie i kulturalnie, aby narzucić wyłącznie własne wzory nowemu środowisku.

Wrocław nie jest ani nowym Lwowem, ani filią Warszawy, czy Katowic, lecz wykuwa własne, odrębne oblicze kulturalne i społeczne.

Z punktu widzenia zmian w strukturze społecznej kraju najbardziej znamienne są wyniki badań nad rodzajem osiedli, z których pochodzi ludność Okazuje się, że około 40 proc. badanej ludności urodziło się na wsi i przybyło ze wsi do Wrocławia. Prawie drugie tyle przybyło z miast poniżej 100 tysięcy mieszkańców, a tylko pozostałe 20% pochodzi z dużych miast. Przesiedleńcy z województw: łódzkiego, kieleckiego, poznańskiego i krakowskiego liczą najwyższy odsetek (powyżej 60%) ludności pochodzącej ze wsi. Ludność wiejska, która przybyła do Wrocławia, skierowała się głównie do pracy w przemyśle, część objęła warsztaty rzemieślnicze i handlowe, znaleźli się i tacy, którzy próbowali w mieście kontynuować zawód rolniczy. Szereg załóg wielkich zakładów przemysłowych wrocławskich liczy ponad 70% ludzi pochodzenia wiejskiego. Według opinii kierowników tych zakładów ludność wiejska okazuje dużą zdolność przystosowywania się do nowych warunków pracy i do nowego otoczenia. Drugi nurt wędrówki ze wsi do miasta kierujący się na stragany i drobny handel przybrał większe rozmiary w pierwszych latach po odzyskaniu Wrocławia. Z chwilą jednak, gdy handel ujęty został w formy zorganizowane, rozpoczął się odwrót z „dzikiego" handlu i tzw. „szabrownictwa".

Żywiołowe, samorzutne osiedlenie się tak znacznej ilości ludności wiejskiej we Wrocławiu nie jest jakimś faktem odosobnionym. Podobnie, nawet w wyższym odsetku napłynęła ludność wiejska do innych miast Ziem Odzyskanych. Wskazuje to na mocną tendencję, wypływającą „od dołu", idącą po linii przekształcenia dotychczasowej struktury społeczno - gospodarczej kraju w kierunku państwa przemysłowo - rolniczego. Doświadczenie wrocławskie zdaje się również upoważniać do stwierdzenia, że urbanizacja ludności wiejskiej nie jest jakimś zabiegiem niesłychanie trudnym, wywołującym szkodliwe następstwa u tej ludności. Między wsią a miastem nie ma tak wielkiej przepaści, jeżeli w ciągu krótkiego czasu, w sposób prawie niedostrzegalny dla powierzchownej obserwacji — potrafiły ją przebyć setki tysięcy ludzi pochodzących ze wsi a osiadłych w miastach Ziem Odzyskanych.

Ludność wiejska wykazała tu wielką „plastyczność", łatwość przystosowania się do odmiennych warunków życia, które przecież z początku nie były łatwe i zachęcające.

Większość mieszkańców Wrocławia, miasta zniszczonego prawie w 70%, nie trafiała tu na gotowe warsztaty pracy i mieszkania, lecz musiała je własnym wysiłkiem tworzyć, czy też odbudować. Lecz dzięki temu nowi mieszkańcy czują się niejako współtwórcami polskiego Wrocławia. Miasto, jego osiągnięcia — stają się wspólnym przeżyciem mieszkańców, wiążąc ich w nową, coraz lepiej zorganizowaną społeczność.

Stanisław Gębala

NOWOCZESNE „PRZYPISANIE DO ZIEMI"

Możliwe, że okolica, którą znam dobrze, jest dziwacznym rezerwatem gdzie paragrafy ck. ustaw stały się zwyczajem, a jako zwyczaj są zawsze żywe i aktualne Możliwe jest także, że żywe i aktualne tu sprawy, gdzie indziej dawno poszły w zapomnienie, chociaż de jure przestarzałe ustawy obowiązują jeszcze i do dziś nie znalazły reformatora. Jedną z nich jest tzw „prawo przynależności". Jest to najdokładniejsze odwrócenie znanego w czasach pańszczyzny prawa przypisania do ziemi. „Prawo przynależności" przywiązuje ziemię do człowieka, a właściwie do miejsca urodzenia. Możnaby emigrować z rodzinnej miejscowości, przyjąć nawet zagraniczne obywatelstwo, a wróciwszy odgrzebać pretensje przynależności do rodzinnej gromady. Sama przynależność niczego jednak nie daje, toteż poszłaby w zapomnienie, gdyby nie to, że na terenie b. Galicji gromady posiadają majątek w postaci wspólnych użytków, czy to lasów, czy też pastwisk. Nieznaczna emigracja ludności ze wsi do wsi, przesiedlania się i nabywanie własności rolnej w czasach przed pierwszą wojną światową sprzyjały żywotności starego prawa. Przybysz do wsi był naprawdę człowiekiem obcym, różnił się od tubylców gwarą i strojem i obyczajem i nie przynależał do gromady, w której mieszkał z rodziną. Z biegiem czasu dzieci jego weszły w związki małżeńskie z miejscowymi, mimo to „przywłoka" pozostał na zawsze tylko „kolonistą". Czasem, kiedy dopisała zręczność i możliwość, „wkupił się do gromady", na co zezwalał paragraf c. k. prawa.

Nie zdarzało się to jednak często.

Przyszły czasy, kiedy w galicyjskich wsiach zaroiło się od przywłoków. Osiadł we wsi schłopiały nauczyciel, czy organista, pozostał tu także „przyżeniony" kolejarz, młynarz, rzemieślnik itd. i nie dbając o formalności wkupywał się faktycznie do gromady swoją pożyteczną dla wsi obecnością. Lata zacierały różnicę między nim a miejscowymi, pamięć niczym nie pobudzana nie wywodziła z przeszłości niczego, co by obracało się na jego niekorzyść.

Ludzie wychodzili i wracali do wsi.

Zapomnieli dawnego obyczaju, obyli się z ludźmi obcymi, i byłby ten stary c. k. paragraf poszedł między archiwalne rupiecie, gdyby nie nowa forma użytkowania spólnot gromadzkich.

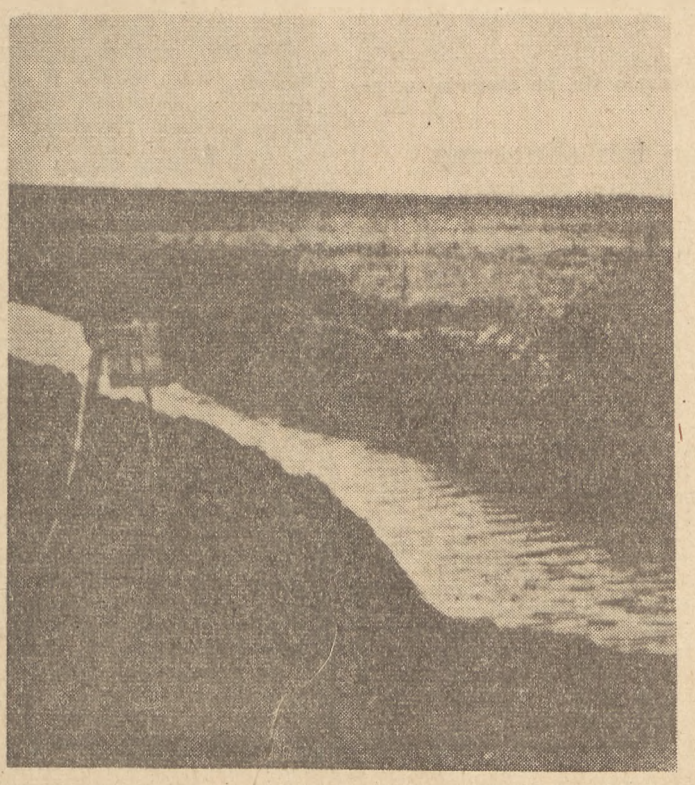

Elektryfikacja, wzmożone budownictwo domów ludowych, remiz strażackich, budynków szkolnych, dróg itp., to rzeczy wymagające dużych stosunkowo wkładów pieniężnych, a na ich pokrycie konieczne jest wyszukanie nadzwyczajnych źródeł. Tzw. „numer" czyli gospodarstwo, inaczej „dym" dawno już zrzucił z siebie ciężar „konkurencji" na cele publiczne, nie wyłączając potrzeb parafialnych. Znikło wkładanie na „morgę" kwot potrzebnych np. na cele gromadzkie, bo po pierwsze przez lat dwadzieścia nie wiele się na tym polu robiło, po drugie: reforma rolna zmniejszyła wartość spólnot, a ponadto ograniczył się zmysł kalkulacji. Pod młotek poszły place i zakącia przydrożne, służące do powiększania lub regulacji przyległych parceli. Licytuje się, hektar po hektarze, pastwisko gromadzkie, z tym że każda z licytacji poprzedzona jest jakimś nowym planem. Każda wiadomość o budowie domu ludowego, czy szkoły oznacza, że zgodzono się nareszcie po długich naradach na zlicytowanie spólnoty w danej wsi i oznacza to samo, co oznajmienie o sprzedaży z licytacji tylu to a tylu ha pastwisk, tylu to metrów kwadratowych „zakąci" i placów.

Wszystko to ma zawsze jednakowy przebieg: po wielomiesięcznych namysłach następuje decyzja, po niej sprzeciwy, potem ponowna decyzja poszukiwania dochodu i wreszcie licytacyjna sprzedaż. Ostatecznie nie byłoby kwestią sporną zamienianie hektarów spólnoty na linie energetyczne będące także spólnotą, gdyby nie towarzyszyły temu tak powszechne dziś przerosty. I tak np. przy elektryfikacji wsi daje się zauważyć tendencja do przeprowadzania jej od A do Z kosztem tej właśnie spólnoty, czyli że gromada ma pokrywać nie tylko koszty zasadniczego urządzenia elektrycznego, jak linia wysokiego napięcia, transformator, ale także i cenę urządzeń indywidualnych. Tu już zamiana nieruchomości rolnych spólnoty jest nie zamianą, lecz po prostu konsumpcją... Kryje się ją przed oczyma władz, mimo że jest powszechnie znaną, wystawia się podwójne pokwitowanie kwot itd. i rzecz poszłaby bez przeszkód, gdyby nie **swojszczyzna.** „Koloniście" albo komuś, kto samotnie przybył do gromady lat temu dziesięć czy dwadzieścia trudno znaleźć się w rzędzie konsumentów spólnoty. Nie pomaga fakt, że przybysz zgodnie z paragrafem ponad dziesięć lat zamieszkuje w gromadzie, w którym to czasie nie był ciężarem dla gromady i zdobył „przynależność". Potrzebne mu jest nabycie prawa „swojszczyzny"... Czas jednak na unifikację dzielnicowych praw. Przeżyliśmy dwie wojny i dwie konstytucje, a z nami przeżyło k.c. prawo „przynależności i swojszczyzny".

Jak jednak będzie wyglądać ich zastosowanie np. w poukraińskich wsiach pogranicza?

Czy np. jedyny Polak pozostały jest jedynym dziedzicem? Wiadomo np. podpisanemu, że miasteczko R. w powiecie T. za czasów gmin jednostkowych w Małopolsce w rzeczywistości stanowiło dwie gminy: jedną z nich była tzw. obywatelska z prawem „swojszczyzny", drugą wyznaniowa żydowska bez prawa „swojszczyzny". I to byłoby normalne, gdyby nie fakt, że sekretarz gminy wyznaniowej, sam zresztą nie Żyd, nie prowadził w swych rejestrach sporej liczby nie Żydów, ale przybyszów bez prawa „swojszczyzny". Obywatele obydwóch gmin obowiązani byli do wspólnych świadczeń w robociźnie na rzecz całości, z tym jednak, że do pastwisk i lasów prawo mieli tylko „obywatele"... Dzielili oni corocznie wyręby między siebie, wypasali swoje krowy i konie na pastwiskach, podczas gdy kozy stanowiące własność gminy drugiej korzystały ze swobody na rynku miasteczka, na jego ulicach i pasły się na ugorach będących własnością prywatną. Poza tym, czy sensowny jest podział społeczeństwa wiejskiego na dwie kategorie: tych ze „swojszczyzną" i tych, których prawa zawodowe zmuszają do częstej zmiany miejsca zamieszkania, którzy nie znają lub znają tylko z metryk miejsce swego urodzenia, którzy bardzo mało albo wcale nie znają swych rodowodów, a którym konstytucja zapewnia równość — wobec prawa?

Nowe Drogi gospodarki wiejskiej

Jedenasty numer „Nowych Dróg" jest dobrą lekturą przede wszystkim ze względów wychowawczych. Orientuje on jasno i precyzyjnie o tym, jak przodująca partia klasy robotniczej stojąc na gruncie marksizmu-leninizmu potrafi dokonać krytyki i samokrytyki praktycznej działalności w zakresie polityki społecznej, gospodarczej i kulturalnej.

Z szerokiej dyskusji na Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej w dniach 31 sierpnia — 3 września, która swój wyraz znalazła w 11 numerze wynika, że działalność części przodujących członków partii była spowodowana błędami, z jednej strony — niedostatecznej znajomości teoretycznej marksizmu-leninizmu, a z drugiej — nieświadomego poddawania się tym tradycjom, których preciąganie w ustroju demokracji ludowej służyło siłom społecznym, wrogim samemu ustrojowi.

Lipcowe Plenum określiło, że demokracja ludowa jako formacja ustrojowa jest etapem, poprzez który nasze państwo zmierza ku ustrojowi socjalistycznemu. Praktyka ostatnich lat powojennych wykazała, że w systemie tym elementy kapitalistyczne zachowały się na pewnych pozycjach, wpływając na zahamowanie naszej drogi rozwojowej. Odcinek gospodarki indywidualnej — drobnotowarowej na terenie miasta i na terenie wsi najbardziej przyczyniał się do tego zahamowania.

Problem wsi stał się centralnym zagadnieniem Plenum lipcowego i Plenum ostatniego. Krytyka partii pod adresem niektórych jej członków sprowadzała się przede wszystkim do zarzutu, że wieś pozostawiono samej sobie, wydając mało- i średniorolnych chłopów na łup elementów kapitalistycznych, jakie na terenie naszej wsi reprezentowali bogaci chłopi.

Minister Hilary Minc w swoim referacie — „Bieżące zadania Partii w zakresie polityki gospodarczej i społecznej wsi" — wygłoszonym 3 września na Plenum KC PPR zanalizował obecną sytuację wsi i wykreślił jej perspektywy rozwojowe, stwierdzając, że cała pomoc jaka pójdzie od Państwa będzie pomocą dla mało- i średniorolnych chłopów.

Dotychczasowa linia rozwojowa wsi wykazała, że przy zachowaniu drobnej parceli nie ma mowy nie tylko o unowocześnieniu rolnictwa, o sensowniejszym planowaniu produkcji rolnej — ale przede wszystkim nie ma mowy przy tej formie gospodarowania o podniesieniu stopy życiowej drobnorolnego chłopa. Z referatu wynika, ze postęp gospodarczy i kulturalny naszej wsi może się dokonać tylko w ramach gospodarki zespołowej. Ten system będziemy realizowali etapami w miarę zwiększania się bazy ekonomicznej, koniecznej dla nadania mu formy praktycznej. System ten będzie wcielany w życie na zasadach dobrowolności. Chłopi będą mieli okazję przekonać się o ile wyższą jest forma gospodarki zespołowej.

Dopóki masa drobno- i średniorolnych chłopów nie zostanie objęta systemem gospodarki spółdzielczej, z jej różnymi formami, ustrój musi przy pomocy odpowiedniej polityki cen podatków i kredytów, roztoczyć opiekę nad drobną parcelą chłopską. Nad prawidłowym korzystaniem z tego opiekuństwa muszą czuwać wiejscy działacze polityczni, gospodarczy i kulturalni. Przez całą Polskę idzie obecnie szeroka fala oczyszczania wszystkich instytucji wiejskich z elementu kapitalistycznego, który z jednej strony wyzyskiwał sam drobnorolną wieś, a z drugiej strony wpływał hamująco na dobijanie się biednego chłopa do tych form gospodarczych, jakie przed nim rysuje dzisiejszy ustrój.

Bogaty zakres zagadnień zawartych w 11-ym Nr. „Nowych Dróg" powinien zostać przedyskutowany przez najszersze warstwy ludności wiejskiej. Wskazuje on bowiem ubogim i małorolnym chłopom drogę wyjścia z ucisku kapitalistycznego, metody walki z wiejskimi wyzyskiwaczami i spekulantami. Pokazuje — jasno i dobitnie — że utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy na wsi, gdzie kapitalista posiada zdecydowaną przewagę nad resztą pracującej wsi — jest pożyteczny tylko i wyłącznie dla tych ostatnich — bogaczy wiejskich, nigdy — dla ubogich chłopów. Jedyną obroną dla drobnorolnego chłopa jest zdecydowana walka klasowa z kułactwem, które różnymi krętymi ścieżkami wdarło się na dominujące pozycje życia wiejskiego — gospodarczego, społecznego i kulturalnego, a na dalszym etapie — zaprowadzenie spółdzielczej gospodarki produkcyjnej.

Czołowa rola w wyjaśnianiu tych zagadnień ludności wiejskiej spada na barki aktywistów partyjnych i samopomocowych, nauczycieli wiejskich i postępowej młodzieży. Ci — w pierwszym rzędzie — powinni zapoznać się z treścią 11-go numeru „Nowych Dróg" i ich zawartość przenieść na szersze zebrania wiejskie. Głosić ich idee wszędzie, na każdym miejscu i każdemu chłopu — ubogiemu i małorolnemu. Jest to zadanie ważne zarówno dla wsi jak i dla całego narodu. Rozbudzenie świadomości klasowej małorolnych chłopów i wyrwanie ich z pod wpływu wiejskich kapitalistów — to wielkie marzenie wielu pokoleń rewolucjonistów chłopskich. Przyniesie ono wsi zarówno nowoczesny system gospodarczy i wyższą stopę życiową, jak i kulturę, godną wolnego człowieka.

M. K.

Gimnazja w miasteczkach

Jestem uczennicą liceum w prowincjonalnym miasteczku Górnego Śląska. W jednym z takich kilkunasto-tysięcznych Piekar czy Komornik... Biję się o wprowadzenie do świetlicy tygodników literacko - społecznych i pism ZMP. Świetlica niestety świeci pustkami. Życie „kulturalne" samej młodzieży ogranicza się do „sobotnich dyskusji", organizowanych przez Samorząd. Rzstrzyga o wyborze tematów demokracja parlamentarna. Klasy zgłaszają (większością głosów) interesujące je zagadnienia. Samorząd tylko wybiera tematy. Odbyły się już dwie soboty. O Warszawie i demokracjach starożytnych. Co to mogło być i co to znaczy, pewne wyobrażenie dać może pobieżny opis składu społecznego młodzieży naszego gimnazjum.

Młodzież przeważnie ze środowiska drobnomieszczańskiego, z rodzin urzędniczych, kupieckich bądź też rzemieślniczych, minimalna ilość pochodzi z rodzin robotniczych, a z chłopskich tylko około 3 procent młodzieży. Młodzież chłopska rekrutuje się z chłopów małorolnych i dlatego stanowi też niewielki odsetek uczącej się młodzieży w naszym zakładzie. W okolicy w przeważającej większości gospodarstwa małorolne (dwuhektarowe). Nie było w pobliżu wielkich majątków do rozparcelowania. Młodzież chłopska jest mało wyrobiona społecznie, gdyż drobnomieszczańska większość w gimnazjum neguje jej wszelkie poczynania. Jeśli nawet przychodzi z wyraźnymi poglądami, nie znajduje zrozumienia. Obecnie młodzież ta wstępuje do ZMP. Prym trzyma jednak grupa wywodząca się z drobnomieszczaństwa. Wobec niej również młodzież robotnicza, zatraca swe poglądy i asymiluje się do środowiska drobnomieszczańskiego.

Wciąż tkwi jeszcze w nich przekonanie, że prawo do nauki na wyższym szczeblu powinien mieć tylko mężczyzna, a kobieta tradycyjnie pozostać w domu, bawić dzieci i „smażyć konfitury." Jest to zdanie nie tylko kolegów, ale i koleżanek.

Udział tej grupy młodzieży w organizacjach ideowo-wychowawczych, a obecnie w ZMP jest bardzo nikły, zapisują się dopiero wtedy, gdy zbliża się matura, sądząc, że przynależność do organizacji zagwarantuje im świadectwo maturalne i wstęp na Uniwersytet. Wstępowanie do organizacji na trzy, dwa lata przed maturą wywołuje u nich ironiczne zdziwienie. Oni zapiszą się do organizacji wtedy, gdy opinia towarzyska i rodzinna orzeknie, że to jest konieczne, bo przecież matura..., bo przecież i tak świata nie zmienią, a w ten sposób uratują pozycję ekonomiczną i towarzyską na przyszłość.

Jest w tej młodzieży nawet wiele elementu dobrego, w którym kiełkują już nowe idee, lecz jeszcze mają mało bodźców do oderwania się od tradycji, a jeśli zdołali nawet przezwyciężyć i tę zmorę to hamuje ich jeszcze opinia, liczą się z nią i boją się jej.

Byłam dzisiaj na Zjeździe Aktywu ZMP w Tarnowskich Górach; bardzo ciekawe referaty o stosunku ZMP do innych organizacji i instytucji oraz referaty o metodzie wychowawczej w ZMP. Ten ostatni referat wygłosił kol. referat szkolny ZMP (chłop z pochodzenia), mówił również o metodach badań i nauczania historii. Rozmawiałam z nim później i okazało się, że materiał czerpał ze „Wsi".

I. G.

FAKTY i ZDANIA

Realizm socjalistyczny i literatura ludowa

Ministrowie rzadko zabierają głos na łamach czasopism literacko-społecznych, gdy to wszakże czynią, wypowiedzi ich mają tym większą cenę, że ukazują pewne problemy na szerokiej płaszczyźnie ich działalności, że rozstrzygają je w skali ogólnej.

Długo wałkowana sprawa realizmu socjalistycznego znalazła wreszcie miarodajne wyjaśnienie w „Próbach konfrontacji" Włodzimierza Sokorskiego („Odrodzenie" Nr. 41).

Autor rozprawiwszy się z elitarnym formizmem będącym uchyleniem się od społecznych form rozwiązania sprzeczności rozwoju i wykazawszy jego wsteczny charakter i rodowód socjalny — mówi: „sztuka naszej epoki musi w pierwszym rzędzie **przezwyciężać dominujący** kierunek epoki schyłkowej, musi być w pewnej mierze jej **przeciwieństwem** i w pewnej mierze również **— przeciwieństwem historycznym i artystycznym, tak w treści jak i w formie.** Musi być dialektycznym rozwiązaniem przeciwieństwa walki i zaprzeczeniem mistycyzmu i czystej abstrakcji formy, a więc musi być z istoty swojej i formy **sztuką realistyczną".**

...„Własne oblicze socjalistycznego realizmu określają zarówno nowe przesłanki kultury materialnej, jak również złożony aspekt nowego widzenia artystycznego, a wreszcie nowa metoda dialektycznego materializmu, która pozwala nie tylko widzieć, rozumieć i tworzyć teraźniejszość, lecz która pozwala wybiegać myślą naprzód, coraz silniej potwierdzając prawdę klasy robotniczej".

„Nasza sztuka — mówi autor w innym miejscu swego artykułu — rozwijać się będzie niewątpliwie w kierunku świadomie programowym, zgodnym z tendencją rozwojową procesów społecznych reprezentowanych dzisiaj przez drogę historyczną klasy robotniczej. Nie będzie to proces ani mechaniczny, ani narzucony — ale zupełnie organicznie, stopniowo wypływający z przemian społecznych i gospodarczych. Ale ten znak równania, istniejący dzisiaj między prawdą obiektywną, a prawdą klasy robotniczej pozwala jednocześnie unikać łatwizn i uproszczeń tematycznych w przeświadczeniu, że każdy papierowy fałsz, który jest fałszem życia, wypacza wielką drogę historyczną proletariatu".

Śród postulatów i stwierdzeń, które nie mogą budzić sprzeciwów jest w artykule Sokorskiego passus wywołujący zastrzeżenie. Chodzi mianowicie o to, że — według autora — zarówno w literaturze, malarstwie jak i muzyce musimy sięgnąć do motywów sztuki ludowej, aby wchłonąć wiekowy, samorodny dorobek ludu, istotę życia i jego istotę walki klasowej.

Myśle, że wiele argumentów znalazłoby się przemawiających za realizacją tego postulatu w dziedzinie malarstwa i muzyki, w literaturze jednak obawiam się, i to w literaturze ludowej polskiej szczególnie, sprawa samorodności jej nie przedstawia się jednoznacznie, a nawet rzec można jednoznacznie niekorzystnie dla postulatu autora. Jak dotychczas uważana jest ona za jedną z najuboższych śród ludowych literatur słowiańskich, a tradycja jej nie jest ani długowieczna ani żywa.

Zresztą sam problem jest tak bogaty i ciekawy, a nawiasem mówiąc i świadectwo etnografów coś warte, że należałoby może rzecz obszerniej przedyskutować i przemyśleć, co by z motywów polskiej literatury ludowej w ramach postulowanego socjalistycznego realizmu dało się wyzyskać. Mamy nadzieję, że zainicjuje to sam autor w równie instruktywny sposób przy najbliższej sposobności.

K. K. N.

Paweł Jasienica contra ksiądz Piwowarczyk?

W 41(186) numerze „Tygodnika Powszechnego" P. Jasienica, nawiązując do politycznej reaktywizacji Hjalmara Schachta, poucza polskich publicystów o zasadach myślenia politycznego: „wielu spośród nas — raz jeszcze niestety — wyobrażało sobie, że po wojnie inwalida spod Monte Casino więcej będzie znaczyć od wybitnego niemieckiego fachowca. Naiwność proszę panów — mówi Jasienica. — Ona nigdy nie popłaca".

Najzupełniej uznaję słuszność wywodów p. Jasienicy i podziwiam odwagę z jaką opublikował ten artykuł w „Tygodniku Powszechnym" niezgodny z ogólną linią pisma. Nie mogę jedynie zrozumieć pod czyim adresem p. Jasienica skierował swoje wywody. Jeśli pod adresem swych kolegów redakcyjnych, to wszystko byłoby jasne. Trudno bowiem wywody tego artykułu odnieść do naszej prasy lewicowej, która ustawicznie powtarza naszemu społeczeństwu, że jedynie ilość wydobytego węgla, ilość wyprodukowanych metrów tkanin, ilość wysłanych bekonów i jaj, ilość metrów sześciennych wyprzątniętego gruzu, ilość izb mieszkalnych odbudowanych w Warszawie będzie nam otwierała drogę do „serc i rozumu" narodów i rządów.

Nie trzeba natomiast szukać daleko dowodów, na to, że publicyści katoliccy robią coś zupełnie innego. Na tej samej kolumnie co artykuł p. Jasienicy znajduje się wypracowanie księdza Piwowarczyka.

Otóż księdzu Piwowarczykowi wydaje się, że względy natury moralnej kształtują politykę narodów i państw. Ksiądz Piwowarczyk ignoruje fakt, że polityka jest zawsze wytworem określonych warunków społecznych. Czy ksiądz Piwowarczyk wierzy, że uczucie miłości bliźniego, jakie głosi kościół katolicki, do którego przynależy 1/3 Niemców — będzie znaczyło więcej, niż interes niemieckich klas posiadających? Ksiądz Piwowarczyk opiera swoje nadzieje co do postawy niemieckich katolików na pewnych nawet „faktach". Przypatrzmy się bliżej tym faktom. Jest to wypowiedź kilku (dosłownie kilku) działaczy katolickich, jednego (tak jest, jednego!) biskupa i „fakt" najcięższego kalibru: rezolucja Katolikentag, który odbył się we wrześniu br. w Moguncji. Rezolucję tę podaje ksiądz Piwowarczyk zdaje się w całości. Mimo najlepszych chęci, nie zdołaliśmy znaleźć w niej **ani jednego słowa,** któreby pozwalało mniemać, że niemiecka opinia katolicka pogodziła się z utratą ziem wschodnich i że Niemcy — katolicy pragną nawiązania z Polską normalnych, pokojowych stosunków.

Skąd inąd wiemy, że opinia katolików niemieckich jest wręcz wrogo nastawiona przeciwko Polsce, że w Niemczech panuje wszechwładnie rewizjonizm, podsycany m. i. wystąpieniami Papieża i wcale nie dwuznacznymi wypowiedziami katolickich dygnitarzy kościelnych.

Nie chcę być gołosłowny i przytoczę kilka faktów z artykułu Zbigniewa Mitznera w 183 numerze „Przekroju". Oto monachijski sufragan biskup dr Meuhaeusler zamieszcza w prasie oświadczenie, że „w przeciwieństwie do jakichkolwiek innych informacji lub insynuacji, w kraju lub zagranicą, zwracamy uwagę na fakt, że **Papież Pius XII nigdy i ani jednym słowem nie poparł granicy na Odrze i Nysie".** Oto 5000 uchodźców niemieckich przesyła za pośrednictwem Kurii Arcybiskupiej w Kolonii do Papieża list dziękczynny za popieranie ich żądań w sprawie **zwrotu niemieckich ziem wschodnich, z których oni nigdy nie zrezygnują.** Oto w Niemczech działa **Katolicka Rada Uchodźców** uprawiająca wrogą i rewizjonistyczną politykę wobec Polski. Sądzę, że to wystarczy. Wprawdzie ksiądz Piwowarczyk przyznał, że przesłanki, na których możnaby oprzeć nadzieję na przychylne ustosunkowanie się katolików Niemców do Polski są słabe, ale równocześnie pisze: „Katolicy niemieccy, których oficjalną reprezentację stanowił moguncki Katolikentag, nie tylko wyznają winę, ale co więcej — kary, które spadły na kraj, traktują jako pokutę za nią" i żywią nadzieję, że po czyśćcu przyjdzie raj — nieprawdaż? To by się zgadzało.

Z. S.

Sztuka dla mas

Niezwykle poczytne czasopismo „Przyjaciółka" poza praktycznymi radami z zakresu kulinarno-małżeńskiego od dłuższego czasu stara się dokształcać swych czytelników w dziedzinie literatury i malarstwa. Zatrzymajmy się przez chwilę tylko na okładce tego pisma. Oto na stronie ostatniej w każdym numerze znajdujemy cykl reprodukcji — „Z arcydzieł malarstwa światowego".

Pierwszą, narzucającą się uwagą jest przypadkowy wybór reprodukcji.

Zamieszczone reprodukcje dostosowane są do gustu i poziomu zainteresowań drobnomieszczańskich czytelniczek (nakład pisma wynosi 900.000 egzemplarzy), a może nawet przeznaczone do wycięcia i oprawienia w ramki dla przyozdobienia cichego domowego wnętrza.

Tymczasem zagadnienie popularyzacji sztuki wymaga otwartej walki z papuzim smakiem i bezmyślnym uwielbieniem dla sentymentalnych treści — do których wiadomo że skłonne jest grono gorliwych czytelniczek „Przyjaciółki!"

Oto obraz Józefa Szermentowskiego „Wspomnienie" — na tle romantycznego dworskiego parku, obok kamiennej ławki ocienionej powojem powiewna postać kobiety, dziedziczki zapewne, jak wskazuje bogata suknia — a oto komentarz umieszczony w „Przyjaciółce": — „Józef Szermentowski znakomity pejzażysta polski. Malarstwo Szermentowskiego charakteryzuje **odczucie poezji polskiego krajobrazu i wierne oddanie jego nastroju.** Wpływ Szermentowskiego na rozwój naszego malarstwa krajobrazowego był wielki, nadał mu **szczerze polski charakter,** daleki **od obcych wpływów".** Pomijając fakt, że komentator „Przyjaciółki" w braku „obcych wpływów" widzi powód do chluby dla polskiego malarza — niepokojąca jest sentymentalna, wrażeniowa interpretacja dzieła malarskiego, a interesujący sam rodowód krytycznej wyobraźni, dla której **polski pejzaż** to rozmarzona szlachcianeczka na tle dworskiego parku.

Jest i próba socjologicznej metody w komentowaniu malarstwa.

Pod reprodukcją obrazu J. Franciszka Milleta: „Kobiety zbierające kłosy" —czytamy charakterystykę malarstwa realistycznego: „W okresie tym występuje w sztuce zainteresowanie robotnikiem i chłopem, tematyka społeczna toruje sobie drogę w malarstwie. Millet w swych obrazach ukazuje chłopa i jego ciężką pracę, pragnie bowiem zwrócić uwagę społeczeństwa na niesprawiedliwość społeczną. Na skutek tego **uczuciowego** stosunku do tematu chłopi Milleta są trochę wyidealizowani, zgięte postacie kobiet są niejako symbolem ciężkiej doli chłopskiej". Autor myślał, że czytelniczkom „Przyjaciółki" inaczej nie można, tylko o uczuciu, symbolu i wzruszeniach artysty.

Najciekawszym jednak komentarzem zaopatrzona została reprodukcja obrazu Franciszka Gerarda: „Portret Pani Recamier". Nawpół rozebrana, bosa, rozmarzona Pani Recamier i takie objaśnienie — „Portret pani Recamier (pięknej Francuski, prowadzącej słynny salon literacki w Paryżu w początkach XIX w) łączy w sobie typowe cechy malarstwa klasycznego — strój, naśladujący szaty antyczne, empirowy fotel, sala kolumnowa, stanowiąca tło z żywym bezpośrednim stosunkiem do modelu". — Tak, bardzo możliwe, zwłaszcza w wypadku — gdy modelką jest piękna kobieta — czy jednak ten „żywy, bezpośredni stosunek" jest wyłącznie cechą malarstwa klasycznego?

Niewiele dowie się czytelniczka o malarstwie poza plotką i dyletanckimi sądami, opartymi na odczuciu, nastroju i wzruszeniu jakim ulega autor działu „Z arcydzieł malarstwa światowego" w piśmie dla przyjaciółek — nieszczęśliwych żon, rozwiedzionych, nowożeńców i innych czytelników „Przyjaciółki", bitej w 900 000 egzemplarzach.

M. B.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA
Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000,— zł; 1/2 kolumny 30.000,— zł; 1/4 kolumny 15.000,— zł; 1/8 kolumny 5.000,— zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja - Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60,— zł, kwartalnie 180,—zł, półrocznie 360,— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.
D—028785